



DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena zł 1,—.

Rok IX

Warszawa, 17 maja 1953 r.

Nr 20 (390)

Kazimierz BIAŁOSTOCKI

Uwagi o kulcie Matki Bożej

OJCIEC Emil Neubert, autor znanej i popularnej książeczki o Matce Bożej, pisze, że różne są powody, dla których ludzie czczą i kochają Maryję. Jedni dlatego, że jest Ona dla nich ideałem czystości i piękna, inni, ponieważ szukają u Niej opieki i pomocy w swych kłopotach, a przekonali się, że ta pomoc jest skuteczna, jeszcze inni, gdyż uważają Ją za najpewniejszą gwarancję osobistej doskonałości i zbawienia. Są tacy, których wzrusza Jej święte Macierzyństwo, Jej ubogie i ukryte życie, Jej wierność Chrystusowi i Jego dziełu. Są jeszcze inni, którzy wychowani w tradycyjnej atmosferze kultu Maryi, nie wiele co zresztą z jego treści rozumiejąc i nie starając się zrozumieć, uczęszczają gorliwie na majowe i październikowe nabożeństwa, ponieważ nastrój tych nabożeństw odpowiada ich uczuciowości. Wszystkie te powody czczą ją i kochania Maryi, z wyjątkiem może tego ostatniego, są w mniejszym lub większym stopniu dobre, istnieją jednak powód o wiele doskonalszy.

Kult Maryi w życiu katolika nie powinien być kwestią uczucia albo przyzwyczajenia i nie może być kwestią tych czy innych czysto subiektywnych przyczyn, tak jak i zagadnie nie wiary. Można by powiedzieć, że wyłącznie na uczuciu oparta wiara i wyłącznie na uczuciu oparta maryjność są mniej więcej tyle samo warte. Analogia ta posuwa się jeszcze dalej, ponieważ maryjność w życiu wewnętrznym katolika, wbrew przekonaniu wielu nawet czcicieli Matki Bożej, nie jest w swej istocie kwestią swobodnego wyboru, jak na bożeństwo do tego czy innego świętego. Maryjność nie jest jedną z dróg współżycia z Łaską, tak jak styl życia określony regułą benedyktyńską, franciszkańską czy wskazówkami św. Ignacego.

Życie wewnętrzne jest włączeniem się w nadprzyrodzoną rzeczywistość i działaniem w ramach tej rzeczywistości. Rzeczywistość ta jest ściśle określona i posiada wyraźnie określone prawa. Jeśli nasze życie wewnętrzne ma mieć jakiś sens i ma do czegoś prowadzić, to nie może być mętnym i nieokreślonym „uwznianianiem duszy”, ale musi stosować się do praw tej nadprzyrodzonej rzeczywistości, której jest częścią, i to jest warunkiem jego autentyczności. Im nasze osobiste życie wewnętrzne ściślej związane jest z obiektywną nadprzyrodzoną rzeczywistością, im bardziej prawa tej rzeczywistości są jego prawami, tym jest ono doskonalsze i tym większą daje gwarancję osiągnięcia swego celu, jakim jest „alter Christus”, ideał drugiego Chrystusa, dla każdego z nas inny i niepowtarzalny. Dlatego decydującym dla naszego osobistego stosunku do Maryi jest Jej miejsce w Mistycznym Ciele Chrystusa, jakim jest Kościół, rola, jaką wyznaczają Jej obiektywne prawa ekonomii zbawienia.

Jeżeli rola Maryi ograniczałaby się do samego faktu Jej Boskiego Macierzyństwa, bez żadnych dalszych

tego faktu konsekwencji, to odpowiednio nasz stosunek do Maryi ograniczyłby się do oddawania Jej wyjątkowej czci, przysługującej Małce Boga-Człowieka; oddawanie tej czci byłoby konieczne, ponieważ Bóg sam zbyt Maryję wyróżnił na to, abyśmy mieli Go w tym nie naśladować.

Gdyby rola Maryi nie kończyła się na fakcie Boskiego Macierzyństwa, ale gdyby poza tym podobna była na przykład do roli innych świętych, którzy opiekują się ludźmi i są pośrednikami między nimi a Bogiem, ale pośrednikami niekoniecznymi, to byłoby rzeczą pożyteczną uciekać się do Jej pomocy i pośrednictwa, ale również moglibyśmy tego nie robić, nie naruszając w ten sposób praw nadprzyrodzonego działania.

Ponieważ jednak rola Maryi jest zupełnie inna, ponieważ jest Ona nie tylko Matką, ale również Współodkupicielką i Wszechpośredniczką Łask, ponieważ Jej udział w zbawieniu każdego z nas jest istotny i bezwzględnie konieczny, ponieważ z woli Bożej nie istnieje inna droga do Chrystusa jak przez Maryję, tak samo, jak nie istnieje inna droga do Ojca jak przez Chrystusa — wobec tego Maryja musi w naszym osobistym i świadomym życiu religijnym zajmować miejsce centralne obok Chrystusa, nie tylko jako przedmiot czci i kultu, ale jako zasadniczy czynnik naszego uświęcenia, czynnik rzeczywiście i aktualnie działający. I w tym sensie nasze życie wewnętrzne musi być z istoty swej maryjne, jeśli ma być z nadprzyrodzoną rzeczywistością zgodne.

Dlatego nie ma katolickiej szkoły życia duchowego, która by nie była maryjna w samej swej istocie, tak samo, jak nie ma takich katolickich systemów teologicznych. Mogą się one różnić sposobami, w jaki każą czcić Maryję, mogą Jej centralne miejsce i Jej rolę podkreślać w stopniu większym niż to jest bezwzględnie konieczne, mogą czynić z Niej ośrodek pracy wewnętrznej w jakimś zupełnie szczególnym stopniu i w szczególny sposób. W tym sensie mogą być one mniej lub więcej maryjne czy szczególnie maryjne, ale w ogóle maryjne być muszą.

*

UPORZĄDKOWANIE stosunków między Bogiem a ludzkością po grzechu pierwotnym nie musiało dokonać się na drodze Wcielenia i Odkupienia przez Krzyż. Nawet przy wyborze tej właśnie drogi nie było bezwzględnie konieczne przygotowanie Wcieleniu Bogu Matki tak doskonalej, jaką była Maryja. A wreszcie Jej Doskonałe Macierzyństwo nie pociągało za sobą w sposób bezwzględnie konieczny funkcji Współodkupicielki i Wszechpośredniczki Łask. Doskonałość Maryi, godność Współodkupicielki i Wszechpośredniczki stają się konieczne tylko w ramach danego konkretnego planu obranego przez Boga. Dlaczego Bóg obrał właśnie ten plan powołania Od-

kupiciela z rodu upadłego człowieka, co ks. Journet, jeden z wybitnych współczesnych teologów, określa jako niebывale wprost zuchwalstwo ekonomii Zbawienia? Cały plan Wcielenia i Odkupienia nieskończenie przewyższa swoją cudownością wszystko, co mogłoby sobie stworzyć nasza uboga wyobraźnia i co zdolny jest zrozumieć nasz umysł, a

wienia całej ludzkości. Od tej chwili Maryja jest Współodkupicielką świadomą swej misji. Po urodzeniu Chrystusa ofiarowuje Go Ojcu i wychowuje Go. Potem jest człowiekiem, który rozumie Go najlepiej i jest Mu zawsze wierna. Na Kalwarii stoi pod krzyżem jako Współofiarnik i Współofiara i tam Chrystus ogłasza Ją Matką wszystkich ludzi, mówiąc:

two w dalszym działaniu Odkupienia może być niepełne.

Maryja jest Wszechpośredniczką, to znaczy, że żaden człowiek nie otrzymuje żadnej łaski inną drogą, jak przez Maryję. Z drugiej strony, żadna modlitwa ludzka, jakkolwiek pojęta, nie dociera do Boga inną drogą, jak przez Maryję. Oczywiście za sadniczo jedynym pośrednikiem między ludźmi a Bogiem jest Chrystus, tak jak jest On jedynym Odkupicielem, ale Maryja uczestniczy w Jego pośrednictwie, tak jak uczestniczy w dziele Odkupienia. Łączność Chrystusa z ludźmi dokonuje się przez Maryję. Inaczej mówiąc, pośrednictwo między Bogiem a ludźmi jest dwustopniowe. W ten sposób Maryja jest współpośrednikiem nierównym Chrystusowi stopniem, ale równym Mu zakresem działania.

Jeśli Kościół wielbi i czci Maryję na drugim miejscu po Chrystusie, a przed wszystkimi istotami stworzonymi, bez względu na ich stopień świętości, czyni to nie tylko z tego powodu, że jest Ona Matką Boga-Człowieka, i nie tylko dlatego, że naśladuje On Boga, Który wyniósł Maryję ponad wszystkie istoty stworzone. Kościół, oczywiście Kościół jako Ciało, nie jako Głowa, którą jest Chrystus, czci w Maryi swój pierwowzór, formę, według której został stworzony, swą Panią, która łączy Go z Chrystusem i jest szafarką wszystkich Łask, a więc sprawczynią świętości każdego z Jego członków. Maryja jest wzorem Kościoła, ponieważ Jej świętość jest wzorem dla Jego Świętości, a Jej działanie jako Wszechpośredniczki jest wzorem Jego uświęcającego działania. Jest Panią Kościoła, ponieważ jest Pełnomocnikiem Chrystusa w dziele zbawienia ludzkości. Zbawienie ludzkości, które zostało Jej powierzony, stanowi zasadniczy cel działania Kościoła. W ten sposób Kościół w swym zasadniczym działaniu został podporządkowany Maryi, i w ten sposób jest On w samej swej istocie maryjny.

*

KAŻDY człowiek żyjący życiem łaski jest członkiem Kościoła, Mistycznego Ciała Chrystusa. Życie Kościoła jest źródłem każdego indywidualnego życia wewnętrznego i wzorem według którego winno być ono kształtowane. Jak wobec tego powinien wyglądać nasz wewnętrzny stosunek do Maryi? Co jest konieczne, a co należy do zakresu swobodnego wyboru?

Przede wszystkim, zdaje się, trzeba uczynić zastrzeżenie, że jednakże maryjność jest elementem koniecznym życia wewnętrznego każdego katolika, to nie jest ona konieczna w każdym indywidualnym życiu wewnętrznym, na każdym jego etapie. Różne są punkty wyjścia, z których człowiek wyrusza do Boga i różne drogi, na których stopniowo poznaje całe bogactwo nadprzyrodzonej rzeczywistości i nadprzy-

(Dokończenie na str. 4.)



El Greco — Matka Boska (fragment obrazu „Pokłon pasterzy“)

rola Maryi w tym planie jest czymś szczególnie pięknym i tajemniczym. Możemy tylko powiedzieć, że plan, który kazał Synowi stać się Bogiem-Człowiekiem, który dał Mu cudowną Matkę, który wreszcie kazał tej Matce być Współodkupicielką i Wszechpośredniczką, musiał być najszczęśliwszym dla ludzkości i przynoszącym największą chwałę Bogu. Wewnętrzna logika tego planu jest miłość — miłość Boga do ludzi, Chrystusa do Boga Ojca i Maryi.

Plan wymagał stworzenia w pełni godnej Matki Boga-Człowieka. To Boskie Macierzyństwo pociągnęło za sobą dwie konsekwencje, a właściwie jeden łańcuch konsekwencji o dwóch wyraźnych aspektach. Pierwszym było wyniesienie Maryi ponad cały porządek stworzony, drugim — Jej dalszy udział w dziele Odkupienia. Maryja jest najwspanialszym dziełem Boga, jest doskonalsza od wszystkich istot stworzonych — Aniołów i ludzi, Jej świętość osobista przewyższa świętość całej reszty Kościoła, jest Niepokalanie Poczęta i Łaski Pełna, zostaje Wniebowzięta i otrzymuje udział w wewnętrznym życiu Trójcy Świętej.

W dziele Odkupienia Jej rola jest jak najbardziej czynna. Jej dobrowolna zgoda, której udziela w chwili Zwiastowania, jest warunkiem zba-

„Oto Matka Twoja. Oto syn Twój.” Maryja jest Matką wszystkich ludzi, ponieważ wspólnie z Duchem Świętym rodzi ich do życia nadprzyrodzonego, tak jak niegdyś wspólnie z Duchem Świętym zrodziła Chrystusa. Jej Macierzyństwo dokonuje się, gdy mówi „tak” w Zwiastowaniu, gdy uczestniczy jako Współodkupicielka w Ofierze Krzyżowej, wreszcie, gdy przekazuje życie nadprzyrodzone każdemu z nas jako Wszechpośredniczka Łaski.

Dzieło Odkupienia nie kończy się na Ofierze Krzyżowej. Trwa ono na dal i stale. Na to, aby zostało ono dokonane, Łaska wysłużona na krzyżu dla całej ludzkości powinna aktualizować się w każdym człowieku. Obrany porządek Zbawienia wymagał, aby ta, która przygotowała przyjsie Chrystusa i uczestniczyła w Ofierze, współdziałała w realizacji Odkupienia do końca. W ten sposób Wszechpośrednictwo Łask jest tylko przedłużeniem współdziałania w Odkupieniu i prostą tego współdziałania konsekwencją. Maryja urodziła i wychowała Chrystusa dla wszystkich ludzi, współdziałała w Ofierze, która odkupiła wszystkich ludzi i z której płyną wszystkie łaski. Byłoby absurdem spodziewać się, że po tym wszystkim Jej pośrednic-

O pokojowe rozwiązanie problemu niemieckiego

30 kwietnia br. odbyła się w Warszawie ogólnopolska konferencja poświęcona sprawie pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego.

Konferencja ta określiła raz jeszcze stanowisko narodu polskiego w sprawie przyszłości Niemiec.

Nie ma chyba Polaka, który nie zdawałby sobie sprawy, że powodzenie walki o zjednoczenie i demokratyczne Niemcy w ogromnej mierze zależy od utrzymania pokoju światowego. Konsekwentna polityka Związku Radzieckiego, tej kierowniczej siły całego obozu pokoju, stanowi od momentu podpisania układów poczdamskich najtrafniejszą wytyczną dla wszystkich wysiłków zmierzających do uregulowania kwestii niemieckiej. Konferencja warszawska od bywała się w szczególności ważkich okolicznościach, w okresie wzmożonej walki o pokój, w okresie, gdy coraz większa pewność osiągnięcia zwycięstwa w tych słusznych zmaganiach wstępuje w serca setek milionów ludzi dobrej woli. Poparcie udzielone przez Związek Radziecki propozycjom chińsko-koreańskim w ostatnim oświadczeniu Molotowa, które raz jeszcze potwierdziło nieugiętą wolę rządu ZSRR położenia kresu wojnie na Korei, stały wzrost aktywnych uczestników walki o pokój — oto zasadnicze elementy potęgujące nadzieję spragnionej pokoju ludzkości.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że do rozwiązania na drodze pokojowej problemu niemieckiego — stanowczego podstawowego zagadnienie warunkujące utrzymanie i utrwalenie pokoju w Europie — zobowiązane są przede wszystkim rządy wielkich mocarstw; konkretnie od ich współpracy, od ich decyzji pokojowego współdziałania tak jednoznacznie postulowane go przez Związek Radziecki sprawa ta zależy. Ale muszą się one liczyć z wolą narodu niemieckiego i z wolą innych narodów.

Fakt, że do dziś, choć już osiem lat mija od zakończenia wojny, zagadnienie niemieckie nie zostało jeszcze rozstrzygnięte, mimo że demagają się tego miliony ludzi pragnących pokoju, fakt ten wskazuje, jak konieczny jest dalszy nacisk opinii publicznej wszystkich zainteresowanych krajów, jak konieczny jest wspólny wysiłek patriotów polskich i francuskich, czeskich i belgijskich, jak konieczny jest stały wysiłek patriotów niemieckich.

Potrzeba wspólnej społecznej akcji na rzecz pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego stopniowo docho dzi do świadomości mas ludowych całego świata, w pierwszym zaś rzędzie do świadomości narodów sąsiadujących z Niemcami i samego narodu niemieckiego. Postępowi katolicy francuscy w oparciu o doświadczenia kilkuletniej działalności Ruchu Pokoju podjęli myśl, przed dwoma blisko już laty, międzynarodowych, pozadyplomatycznych konsultacji i wspólnej działalności w tej sprawie. W rezultacie tych wysiłków, po szeregu krajowych i międzynarodowych spotkań, odbyła się w listopadzie ub. roku Konferencja Berlińska w sprawie pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego, na której przedstawiciele

wszystkich sąsiadujących z Niemcami narodów wspólnie z przedstawicielami obu, sztucznie rozdzielonych części Niemiec po szerokiej wymianie poglądów zgodnie opracowali rezolucję wskazującą na konkretno środki, które muszą zostać podjęte, by doprowadzić do pokojowego zjednoczenia Niemiec.

W wykonaniu uchwał Konferencji Berlińskiej wszystkie zainteresowane narody utworzyły komitety krajowe. Polski komitet ukonstytuował się w kwietniu br. i zwołał ogólnokrajową konferencję. Kilkanaście przemówień wygłoszonych przez przedstawicieli klasy robotniczej i jej partii, chłopów i inteligencji i twórczej, księży i działaczy katolickich pokazało jak głęboka jest jedność opinii narodu w tej sprawie.

Dlatego z całą pewnością można stwierdzić, że słowa, które czytamy w uchwalonej rezolucji, określają stanowisko wszystkich uczciwie myślących Polaków. Rezolucja głosi m.in.:

„W chwili obecnej, gdy jesteśmy świadkami wzmożonego nęciska na remilitaryzację Niemiec zachodnich, konferencja nasza — wyrażając jednomyślnie wolę i uczucia narodu polskiego — domaga się zwolnienia konferencji czterech mocarstw dla zawarcia traktatu pokojowego w duchu układu poczdamskiego z Niemcami zjednoczonymi, niezawisłymi, pokojowymi i demokratycznymi, z Niemcami, które nigdy nie będą uczestniczyć w koalicjach i sojuszach wojskowych i z których życia usunięte zostaną na zawsze wszystkie pozostałości faszyzmu i militarystyki.

Naród polski, pragnący żyć w pokoju i przyjaźni z całym narodem niemieckim, zacieśnia swoje stosunki braterskiej współpracy z Niemiecką Republiką Demokratyczną i solidaryzuje się z ofiarną walką patriotów niemieckich w Niemczech zachodnich o odrzucenie układów wojennych i o pokojowe zjednoczenie Niemiec.

Naród polski uważa, że Niemcy wolne, niepodległe, zjednoczone, demokratyczne i pokojowe winny znaleźć godne miejsce w rodzinie narodów Europy, jako równy wśród równych.

W imieniu narodu polskiego konferencja serdecznie pozdrawia i solidaryzuje się z potężnym ruchem patriotycznym w krajach Europy zachodniej, skierowanym przeciwko ratyfikacji układów z Bonn i Paryża, przeciwko odbudowie Wehrmachtu, o pokojowe rozwiązanie problemu niemieckiego.

Konferencja wzywa naród polski do zacieśnienia szeregów Frontu Narodowego, do wzmożenia wysiłków na rzecz realizacji Planu 6-letniego dla umocnienia naszego Państwa Ludowego, do pogłębienia sojuszu ze Związkiem Radzieckim, naszym wyzwolenicielem, ostoją pokoju i niepodległości narodów. Konferencja wzywa naród polski do wniesienia jeszcze większego wkładu w walkę o pokojowe rozwiązanie problemu niemieckiego w imię najżywniejszych interesów naszego narodu i narodów Europy, ich wolności, niepodległości i bezpieczeństwa.

Na konferencji z 30 kwietnia br. Polski Komitet do Pokojowego Rozwiązania Problemu Niemieckiego gościł delegacje komitetów zagranicznych: czechosłowacką, francuską i niemiecką z NRD i z Niemiec zachodnich. Wśród gości znajdowało się kilku znanych działaczy katolickich z Francji i Niemiec, między innymi b. poseł MRP d'Aragnon, ks. Bose, sekretarz Pax Christi Mignon i redaktor postępowego pisma katolickiego z Niemiec zachodnich.

Wystąpienie tych delegatów zagranicznych przemawiających w imieniu swoich narodów były zgodne z tezami Komitetu Polskiego.

Niewątpliwie jednolite stanowisko Polaków zmanifestowane na konferencji i solidaryzujące się z nim stanowisko patriotów wszystkich zainteresowanych krajów, reprezentujących bardzo różne środowiska i różne światopoglądy, jest ważną rekwizycją, że tak konsekwentnie podnoszona przez rząd Związku Radzieckiego konieczność pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego zostanie poddyktowana na rządów pozostałych wielkich mocarstw wspólną wolą opinii publicznej. Na podkreślenie zasługują również znaczący wkład konferencji w dzieło umocnienia jedności narodu polskiego świadomego pokojowej funkcji ofiarne realizowanych zadań 6-letniego Planu rozwoju naszej Ojczyzny.

Szymon DEREN

Pamiętniki Reynauda

PAUL REYNAUD należy do bardzo reprezentatywnych postaci świata politycznego Francji międzywojennej. Związany licznymi więzami z rządzącą plutokracją, karierę swą rozpoczął zaraz po pierwszej wojnie światowej, uzyskując mandat poselski z ramienia triumfującego wówczas konserwatywnego „Bloku Narodowego”. Błyskotliwie inteligentny, dobry mówca i cięty polemista, pozbawiony skrupułów i niezmiernie ambitny oportunistą, może uchodzić za wzór karierowicza politycznego w tej „republiki koleżków”, jak ironicznie nazwał ustrój parlamentarny swego kraju Bertrand de Jouvenel.

Konkurencja była duża, więc Reynaud, któremu przydzielano dotąd tylko drugorzędne teki, szykował sobie jednocześnie parę płaszczyzn wyjściowych dla osiągnięcia naczelnego stanowiska. Zainteresowania jego objęły sprawy finansowe, problemy zagraniczne, zagadnienia wojskowe i politykę wewnętrzną. Ten dyletantyzm starał się pokrywać wysuwając w każdej z tych dziedzin jakąś „frapującą” ideę, mającą zwrócić na niego uwagę. Wszystkie one płynęły z jednego źródła: miały na celu najbardziej wydajną obronę interesów wielkiego kapitału francuskiego.

W dziedzinie finansowej Reynaud był rzecznikiem dewaluacji franka, aby uzyskać wyższą cen hurtowych wewnątrz kraju, przy jednoczesnym ich faktycznym zmniejszeniu na rynku światowym, twierdząc, że tylko tą drogą można zachęcić przedsiębiorców do zwiększenia produkcji. Była to więc klasyczna recepta przetrwania ciężaru kryzysu gospodarczego na barki mas pracujących. Łączył z tym logicznie tezę przekonizowania w polityce wewnętrznej ścisłej współpracy z prawicowymi socjalistami Bluma dla wspólnego przeciwstawiania się żądaniom klasy robotniczej.

W dziedzinie polityki zagranicznej Reynaud widział niebezpieczeństwo dla przemysłowców francuskich, wpływające ze światoburczego programu imperialistów niemieckich, toteż głosił potrzebę zahamowania ekspansji hitlerowskiej. Jako środek ku temu wskazywał zabezpieczenie się Francji przez sojusz polityczno-wojskowy ze Związkiem Radzieckim. Chciał to jednak połączyć z reakcyjną polityką wewnętrzną, proklamując wraz ze swym przyjacielem politycznym Mandelem „efektywną” formułę: ze Związkiem Radzieckim, ale przeciwko komunistom francuskim. Głoszenie więc konieczności sojuszu ze Związkiem Radzieckim przeciwko faszystom było tylko posunięciem taktycznym.

W dziedzinie wojskowej Reynaud zetknął się z młodym ambitnym oficerem, dążącym również do wybitcia się za pomocą tworzenia błyskotliwych koncepcji, gdyż w armii francuskiej, kierowanej przez ludzi starych, dyskontujących swe zasługi z czasów pierwszej wojny światowej, awans dla „młodych” był prawie całkowicie zamknięty Tym oficerem był wówczas major de Gaulle, który występował jako propagator słusznej zresztą myśli tworzenia wielkich jednostek pancernych jako podstawowej siły uderzeniowej w wojnie nowożytnej. De Gaulle wiedział, że nie przełamie zaskorupiałej rutyny takich wodzów jak Pétain, Weygand czy Gamelin, toteż szukał polityka gotowego propagować we własnym interesie koncepcje nowej wojny na arenie politycznej, za którego plecami i on sam zrobiliby karierę.

Reynaud uchwycił się pomysłu de Gaulle'a, ale nie zdołał przezwyciężyć nierozumienia specyfiki nowej wojny ani u długoletniego ministra spraw wojskowych, potem również premiera Daladier i starszej racofanej generalicji, ani u ulegających autokratywie zasłużonych wodzów, deputowanych w parlamencie. Szerszą arenę otworzyła mu dopiero w 1938 r. teka ministra finansów, przy czym uzyskaną przejście

wo poprawę koniunktury ekonomicznej dzięki włączeniu się Francji do wyścigu zbrojeń przedstawiał jako rezultat swej „zbawczej” polityki gospodarczej. Wykorzystując atut dobitnych stosunków z politykami brytyjskimi, udało mu się wysadzić z siodła premiera Daladier, zajmując jego stanowisko (kumulując jednocześnie tekę ministra spraw zagranicznych) w czasie tzw. dziwnej wojny, t.j. w marcu 1940 r.

Całkowicie pochłonięty rozgrywkami personalnymi i ciągłymi zmianami zorganizował do reszty naczelne dowództwo francuskie w obliczu zwycięskiej ofensywy niemieckiej. Wówczas też powołał na podsekretarza stanu w kierowanym przez siebie Ministerstwie Obrony Narodowej, pułkownika de Gaulle, mianując go generałem. Nieudolnego ale uczciwego naczelnego wodza, gen. Gamelin, zastąpił przez Weyganda i Pétaina, którzy natychmiast zaczęli głosić konieczność kapitulacji w imię hasła: porozumienie z najeźdźcą dla ratowania „porządku” a więc ustroju kapitalistycznego, zagrożonego potężną falą patriotycznej akcji mas pracujących.

Pod ciężarem klęski militarnej Reynaud załamał się i nie zdobył na przeformowanie swej tezy wycofania się do Afryki Północnej dla kontynuowania stamtąd walki. Ustąpił dobrowolnie, przekazując władzę w ręce Pétaina w zamian za obietnicę nominacji na ambasadora w Waszyngtonie.

NOWY ustrój faszystowski, operując hasłami „sanacji” stosunków wewnętrznych, szukał kozłów ofiarnych dla propagandowego przetrzymania na nich odpowiedzialności za klęskę. Znalazł się wśród nich i Reynaud, który został aresztowany, a po dwóch latach wydany w ręce gestapo jako zbrojny „winowajca wojny”. Więzienie w Niemczech nie było zbyt uciążliwe. Sprowadzało się do niernowania w małowniczym zamku gdzieś w Tyrolu. Wystarczało jednak, aby po klęsce hitlerowców Reynaud powrócił do kraju, przybierając tożę ofiary i bohatera. Naród francuski nie dał się jednak oszukać, domagając się surowego ukarania Reynauda. Tylko usłużność jego byłego pupila de Gaulle'a, który był wówczas szefem rządu, uchroniła go od sądu. Reynaud nie zrezygnował jednak z chęci ponownego objęcia władzy. W 1947 r. wydał własną wielką dwutomową apologię pod zdumiewającym wprost tytułem: „Francja zbawiła Europę”. Łącząc sofistykę z wprost cynicznym przekręcaniem faktów, starał się w niej przedstawić siebie w roli opatrnościowego męża stanu jednolitego, który widział należytą drogę, lecz którego nie chciano słuchać i przez szkodzano mu w realizowaniu jego koncepcji.

Przerzucając winę na wszystkich innych, Reynaud usiłował w swych pamiętnikach pochwalić nacjonalistyczną burżuazję francuskiej, twierdząc, że Francja zbawiła Europę, bo wypełniła w 1939 r. swe zobowiązania sojusznicze względem Polski wypowiedzając wojnę Niemcom (sic). Wygrywając swe nieśmiało zastrzeżenia przeciwko polityce monarchijskiej w 1938 r., próbował wykazać, że główna w tym zasługa przypada jemu, ergo on, Reynaud, zbawił Europę. Stary gracz wiedział, do kogo się zwraca. Reakcja francuska przyjęła te wywody jako nowy dowód zręczności ich autora.

Od 1947 r. zasiada znów w parlamencie, był już ministrem skarbu, a nawet parodiowym szefem rządu. Wciąż jeszcze oczekuje swego dnia, aby wystąpić jako premier „ogólnonarodowej” koalicji, obejmującej faszystowską partię gaullistów i rządzący dotychczas centrowy blok „trzeciej siły”. Idzie w tym na rękę Amerykanom, dla których porzucił swych dotychczasowych przyjaciół brytyjskich

We Francji nie zapomniano jednak zgbunę roli Reynauda w początkach II wojny światowej. Po wyborze jego do parlamentu frakcja komunistyczna zażądała inwalidacji jego mandatu, przy pominięciu w debacie utworzenie przez Reynauda drogi dla zdradzieckiego reżimu petainowskiego. Zahaczeni w pamiętnikach współpracownicy Reynauda nie zostali mu dłużni i przekonywająco wykazali jego klamstwa i wykryły w tym czasie ukazał się we Francji i za granicą cały szereg książek, które rzuciły jaskrawy snop światła na właściwą rolę Reynauda w przeszłości. Liczne recenzje i krytyki przenicowały i ośmięszły jego samochwalny pamflet „Francja zbawiła Europę”.

I tym razem Reynaud nie dał za wygraną. Chcąc nadal odgrywać rolę, poczuł, że musi się znowu tłumaczyć to też ostatnio wydał nowe, całkowicie przerobione opracowanie swych dawnych pamiętników pod skromniejszym już tytułem „W środku zawieruchy”.

Zastanawiając się przed licznymi krytykami, Reynaud próbuje usprawiedliwić szereg nieścisłości i błędów pierwotnego tekstu, twierdząc, że pisał na kolanach, częściowo w Niemczech, nie dysponując dostateczną ilością dokumentacji, a wydał książkę ulegając tylko gwałtownym namowom przyjaciół. Obecnie punkt ciężkości przerzucił na polemikę z oponentami. Utrzymał jednak dawną, wprost śmieszoną, tezę przewodną, że był największym i najbardziej przewidującym politykiem Francji.

W części dotyczącej swojej działalności przedwojennej, Reynaud kładzie główny nacisk na swe koncepcje finansowe, dotyczące dewaluacji franka. Rzeczywiście nie można im odmówić logiki, gdy się pamięta czym interesom miały one służyć. Pierwszym jego wówczas krokiem na drodze zwiększenia zysków kapitalistów było podjęcie zdecydowanej ofensywy przeciwko zdobyciom socjalnym francuskiej klasy robotniczej, wywalczonym w czasach rządów Frontu Ludowego (1936 r.).

NAJCIEKAWSZE są jednak dla nas rozdziały pamiętnika, przedstawiające bardzo obszerne klęskę wojskową Francji i jej katastrofę w maju — czerwcu 1940 r. Autor stara się wykazać, że jedynie on bronił do upadłego honoru Francji i przeciwstawiał się wszelkim próbom zrezygnowania z walki. Naturalnie, nie widzi żadnych win ani ustroju, ani swych własnych.

Przy okazji omawiania stanu militarnego Francji, Reynaud przytacza dane niejednokrotnie wprost rewelacyjne. Okazuje się, że Francja była tak nieprzygotowana do wojny, że po 8 miesiącach zastano na froncie, gdy rozpoczęła się ofensywa niemiecka, zaczęło od razu odczuwać brak amunicji, a gdy najlepszych 10 dywizji francuskich zostało rozgromionych we Flandrii to nie można było tworzyć nowych jednostek z uratowanych z Dunkierki żołnierzy i z nowopowołanych rekrutów, gdyż brakło karabinów i umundurowania.

Natomiast w świetle wywodów Reynauda przysła jak bańka mydlana legenda o kolosalnej przewadze czołgów niemieckich. Z przytoczonych przez niego najnowszych badań źródłowych wynika, że wojska francuskie i brytyjskie na froncie zachodnim miały w maju 1940 r. 4 868 czołgów, podczas gdy atakująca armia niemiecka — tylko 3851, z których co najmniej 1 000 trzymata w rezerwie i nie użyła ostatecznie w bitwie o Francję.

Czołgi francuskie były poza tym w swej większości powolniejsze, ale za to lepiej opancerzone i posiadające większą siłę ognia, a więc bardziej nadawały się do obrony.

Pod względem artylerii przewaga była również po stronie Francji zwa-

(Dokończenie na str. 9)

* Paul Reynaud: „Au coeur de la melle” 1930 — 1945, Paris 1952, Flammarion, Str. 1078.



* PAX *

Jerzy Krzysztoń

OPOWIADANIA INDIJSKIE

Cena zł 22.—

Zbyszko Bednorz

DZIECI I BAGAZE

Cena zł 15.—

Macieł J. Kononowicz

W RAMIONACH

SREBRNYCH RZEK

Cena zł 15.—

Georges Bernanos

RADOSĆ

Cena zł 20.—

Wysła Bluro Sprzedaży „PAX”, Mokotowska 43, Warszawa, za załączeniem lub po wpłacie na konto PKO Nr I-8315 z dołączeniem zł 3 na koszt przesyłki

Witold OSTROWSKI

Podróż Conrada do jądra ciemności

NA okładce napis: „Joseph Conrad (Konrad Korzeniowski), Opowieści wybrane, PAX“. Wewnątrz fotografia autora z podpisem, przedmowa Gołubiewa i cztery opowieści: „Jądro ciemności“, „Placówka postępu“, „Amy Foster“ i „Wspólnik“. Pierwsze wrażenie — to zadowolenie ze wznowienia wielkiego pisarza. Drugie — to obawa, żeby mimo dobrej przedmowy nie został niezrozumiany przez polskich czytelników... Łatwo bowiem źle zrozumieć to, co jest subtelne, głębokie, a jednocześnie egzotyczne.

A Conrad jest właśnie taki. I, co gorsze, istnieją już smutne precedensy — robienie z niego pisarza „morskiego“ (Czachowski), a nawet zdrzący polskością za rozgłos i pieniądze (Orzeszkowa). Dlatego dziś, gdy wy mierzymy sprawiedliwość przeszłości, jest rzeczą ważną, by Conrad nie został pokrzywdzony przez brak światła, kim i czym w istocie był. Dla tego też recenzję nawet paru jego opowieści trzeba zacząć od samego początku, od owego „był sobie pewnego razu...“

ŚNIADY PRZYBYSZ Z „TORRENSA“

„Opalony, ze szpiczastą bródką, prawie czarnymi włosami i ciemnobrązowymi oczyma, nad którymi powieki fatłowały się mocno, był szczupły, niewysoki, miał bardzo długie ręce, szerokie ramiona, głowę trochę wysuniętą do przodu. Mówił do mnie mocno cudzoziemskim akcentem... Zawsze wielką gawędziarzem, już wtedy miał prawie dwadzieścia lat opowieści do opowiedzenia... Pamiętam jak czulem, że zaważył dla mnie więcej niż wszystkie inne przeżycia owej podróży...“

Było to w r. 1893 na pokładzie *Torrrensa*, odbywającego prawie dwumiesięczną podróż z Australii do Anglii. Spalonym od słońca oficerem okrętowym był Józef Conrad. Tym, który poddał się jego czarowi, był znany nam autor „Sagi rodu Forsytów“, John Galsworthy. Długie wie czorne rozmowy w porze wachty na rufie były wstępem do literackiej przyjaźni. Rękopis „Szaleństwa Almayera“, zaczęty niegdyś podczas przymusowego postoju na rzece Kongo, znalazł się w rękach Anglika, który również zaczynał pisać.

Służba na *Torrrensie* była ostatnią służbą Conrada na morzu. Epoka żaglowców kończyła się (na tym tle powstała nowela „Wspólnik“), a zdrowie nadszarpnęła febra. Zachęcony przez Galsworthy'ego żeglarz dokonał powieści, która wyszła w dwa lata później przy poparciu wielkiego przyjaciela młodych talentów, pisarza i wydawcy, Edwarda Garnetta, „kochanego Edwarda“, jak go wkrótce zaczął Conrad nazywać.

W ten sposób Józef Conrad wszedł w angielski świat literacki. Osiedlił się wśród zielonych wzgórz i przeobfitych sadów hrabstwa Kent, ożenił się z panną Jessie George, miał wkrótce zostać ojcem dwóch synów — Borysa i Johna. Otoczyło go grono kolegów pisarzy, jak Garnett, Galsworthy, H. G. Wells, Cunningham Graham, którzy go cenili lub wprost czcili. „Czar był wielką cechą Conrada — czar żywego wypowiedzenia się i zapalu, głęboko czującego serca i subtelny umysł o szeroki zasięg“ — mówi Galsworthy.

Czar ten — *fascination* — nie polegał tylko na wdzięku, lecz miał cechy tajemniczej wielkości. Od czuwał ją przyjaciele pisarza. Ona sprawiła, że raz Garnett — najserdeczniejszy przyjaciel — pocałował Conrada w rękę — czyn u Anglika niesłychany.

Powiedziałem: tajemniczej wielkości. Conrad bowiem był zagadką. Ani

przyjaciele, ani żona nie mogli go nigdy całkowicie pojąć. Często on sam nie mógł pojąć siebie. Jego rozwoj duchowy i artystyczny do dziś nie jest nam dobrze znany, mimo, że ogłoszono niemal setki jego listów, a od 1914 do 1946 roku w samej Anglii ukazało się 16 książek o nim, nie licząc ocen w podręcznikach literatury i artykułów w czasopiśmie. Jak Szekspir, Conrad nie został jeszcze ostatecznie poznany.

Po dwudziestoletniej włóczędze po morzach wylądował w Anglii jako „jeden z bardzo niewielu powieściopisarzy bieżącego stulecia, których dzieło nie wydaje się mniejsze, mimo że czas upływa“. Jak się to stało? Jak do tego doszło, że ten trzydziestoletni dyplomowany kapitan marynarki handlowej został pisarzem o światowej sławie? Jak syn podolskiego ziemianina został brytyjskim poddanym i osiągnął rangę kapitańską?

Spróbujmy odpowiedzieć...

POCZĄTEK PODRÓŻY

PROCES ten zaczął się właściwie z chwilą narodzin Józefa Teodora Konrada Nałęcz Korzeniowskiego 3 grudnia 1857 r. w Bełdycze wie, z matki Eweliny z Bobrowskich i ojca Apollona Korzeniowskiego. Ojciec Józefa — to światły ziemianin — literat. Pisał poezje, krytyki literackie, tłumaczył z francuskiego i niemieckiego. Jednocześnie zaś sym patyzował z podziemnym ruchem antycarskiej rewolucji narodowej, która miała wybuchnąć w roku 63-im. Za udział w konspiracji pan Apollo został zesłany na Sybir, gdy jedyny jego syn miał trzy lata. Pani Ewelina wzięła dziecko i wyruszyła wraz z mężem. Był to akt owej wierności, której piewca miał zostać jej syn.

Życie na zesłaniu było ciężkie. Matka przyszłego pisarza umarła, kiedy miał lat osiem. Ojciec zdążył jeszcze z synem do Polski, aby zostać pochowanym w ojczyźnie. Dziesięcioletni Conrad został sierotą — pod opieką wuja, Tadeusza Bobrowskiego.

Wezwanie wyrwany z rodzinnego domu, pozbawiony materialnego oparcia swej klasy, rzucony w obcy, surowy kraj, którego klimat zabił mu rodziców, wzięty wreszcie pod opiekę krewnych, którym obce było jego „czarne dzieciństwo“, Józef Teodor Conrad stał się chłopcem raczej samotnym, przestającym sam z sobą lub z książkami, skrytym, ale i spragnionym ludzkiego współzycia, serdecznej przyjaźni. Tęsknił za wolnością, za światem, w którym człowiek nie jest związany z miejscem i konwencją swej klasy, w którym wymaga się sprawności i dzielności, a nie płaci się za nie uznaniem człowieka za istotę wolną i niezależną.

Taki świat istniał w powieściach Marryata i Coopera, które otwierały czarodziejские okna na dalekie morza i lądy. Gdzież mogło być dzielnie i swobodnie, jak w nieznanym sercu Afryki, zakrytym na mapie białą plamą — zasłoną tajemnicy? Być tam, dostać się tam!... Ale dokonać tego mógł tylko dzielny żeglarz — kapitan okrętu. Gdy szesnastoletni uczeń gimnazjalny z cesarsko królewskiego Krakowa zobaczył na wakacjach w Wenecji morze, dojrzał w nim romantyczne postanowienie. Nastąpiło przekonywanie wuja, próba ucieczki z domu, a w końcu niechętnie przyzwolenie. Chłopiec wyrwał się w szeroki świat. Romantyk okazał się realizatorem. Było to we wrześniu 1874 r.

OPANOWANIE MORZA

DRUGI akt tego dramatycznego życia zaczyna się w Marsylii nad szafirowym zwierciadłem Śródziemnego morza. Uparty mło-

dzieniec zaciąga się najpierw do służby na dwóch żaglowcach. Potem z trzema innymi młodzikami kupuje jacht *Tremolina*, aby przemycać broń do Hiszpanji. Dwie osoby kształtują wtedy jego życie — Dominik Cervoni (prototyp Nostroma i Lingarda) oraz piękna agentka hiszpańska, donia Rita. Dominik daje mu poznać przyjaźń, Rita — miłość.

Dobrowolne rozbitcie *Tremolina* i pojedynek o hiszpańską piękność stanowią najbardziej dramatyczne sceny okresu śródziemnomorskiego. Weszły one później do „Zwierciadła morza“ i „Złotej strzały“ wraz z całą atmosferą groźnego morza, obspanego mgłałowym kwieciami lądu, i nieprzeniknionych ludzi.

W 1878 zawiąza do Marsylii angielski statek *Mavna*. Conrad zaciąga się jako prosty marynarz i po raz pierwszy widzi Anglię. Odtąd zaczyna się trzeci akt — włóczęga po oceanach i dorabianie się rangi kapita-
tana.

Gdy mówimy o tym, trzeba pamiętać, że był to okres ostatecznego, szczytowego rozkwitu żegluga pod żaglem, gdy statki osiągnęły maksimum sprawności i siły w szybkobieżnych clipperach. Nawigacja była sztuką, żeglarz artystą.

Na jednym z clipperów Conrad płynie do Australii. Poznaje słoneczny Ocean Indyjski, malajskie wyspy i morza, porty, okręty, ludzi... Z widoków wtedy widzianych, z opowieści wtedy zasłyszanym powstała później książka — „Młodość“, „Wyrzutek“, Murzyn z załogi Narcyza“, „Tajfun“, „Lord Jim“, „Ocalenie“, „Smuga cienia“...

Conrad żyje wśród marynarzy. Podziwia ich prostotę, odwagę i wierność obowiązkowi. Nie tyle kocha morze, ile je podziwia. Kocha na swój skryty sposób ludzi morza. Sam jest do nich podobny. „Ci, którzy czytają mnie — napisze później — znają moje przekonanie, że świat, świat doczesny, opiera się na kilku prostych ideach; tak prostych, że muszą być stare jak on sam. Opiera się, mianowicie, między innymi, na idei Wierności“.

Conrad był pierwszorzędnym żeglarzem. Udzielenie mu obywatelstwa brytyjskiego w 1886 r. było u-

znaniem jego sprawności zawodowej, po którym mógł sięgnąć po dyplom kapitana — *Master Mariner's Certificate*. W ten sposób zięciły się fantastyczne marzenia chłopięce. Nieprawdopodobne stało się rzeczywistością.

DOJRZEWANIE W SERCU CIEMNOŚCI

CZWARTY akt conradowski dramatycznie zaczyna się w r. 1890. W tym roku zięciły się jeszcze jedno chłopięce marzenie — młody kapitan dotarł do wnętrza Kongo, do samego serca Afryki.

Tu jednak czekała go niespodzianka. Dotąd romantycznym marzeniem odpowiadała, na ogół, romantyczna rzeczywistość. W Kongo kapitan Joseph Conrad (takie sobie obrał nazwisko jako poddany królowej Wiktorii) stwierdził, że wymarzony kraj krył w sobie ohydę. Był sercem i jądrem ciemności.

Kto czyta „Placówkę postępu“ i „Jądro ciemności“, ten w pełni może ocenić, jakie straszne wrażenie wywarła na ich autorze afrykańska rzeczywistość. Ale ten tylko, kto zajrzy przynajmniej do „Encyklopedii Brytyjskiej“, może ocenić, jak prawdziwe są obrazy tej rzeczywistości w utworach Conrada. Trzeźwy, rzeczowy opis powstania i eksploatacji tzw. Wolnego Państwa Kongo odkrywa chciwość, bezsens i okrucieństwo działające pod pozorem zdobycia tego ponurego kraju dla cywilizacji. Wszystkie europejskie mocarstwa kolonialne maczały ręce w tej ohydzie — najjaskrawszym przykładzie kapitalistycznego imperializmu.

W zetknięciu się z tą skrajną formą kapitalizmu nastąpiła w Conradzie wielka przemiana — przebudzenie się wewnętrzne człowieka i artysty. Był to wstrząs moralny i fizyczny (zapadł wtedy na febrę), tak mocny, że Conrad uważał go za początek swego człowieczeństwa. „Przedtem byłem tylko zwierzęciem“ — powiedział kiedyś.

Conrad żył na morzu zbyt daleko od rodzinnego, feudalnego i od zachodniego kapitalistycznego społeczeństwa, by oceniać praktyki kolo-

niałne z punktu widzenia struktury gospodarczej i społecznej, lub politycznej. Oceniał ją raczej według pojęć etycznych wyniesionych z dzieciństwa — pojęć takich, jak honor, odwaga, wierność, obowiązek — pojęć w ówczesnej Polsce żywych i otoczonych prawie religijną czcią, dzięki typowi napoleońskiego wiarusa, który łączył, jako żywy przykład, filozoficzne abstrakcje XVIII w. z chrześcijańskim obyczajem.

Pojęcia te w naturalny sposób pasowały do potrzeb służby w marynarce. Natomiast w dżungli okazała się ich słabość. Miały one pewne realne znaczenie w Europie dzięki konwencjom społecznym i towarzyskim. W Afryce, gdzie nie było takich hamulców, były to puste słowa. Ludzie słabi — jak urzędnicy z „Placówki postępu“ — ulegały zdziwieniu niechęć. Ludzie mocni, jak Kurtz z „Jądra ciemności“, stawali się w demoniczną wprst otchłań moralnego upadku, wykorzystując dzikość i zabobon ludożerców dla zaspokojenia własnej chciwości i pychy.

Sama Wierność służyć nie wystarcza... Człowiek musi być wierny samemu sobie... Tu jednak zaczynały się komplikacje. Zdaje się, iż przynajmniej we wczesnej młodości Conrad — jednostka z natury wysoce etyczna — przypuszczał, że każdy człowiek nosi w sobie takie tęsknoty etyczne jak on. Z tego przekonania musiało go wyprowadzić zetknięcie się z jakimś Kurtzem. U takiego prototypa esesmana wierność samemu sobie nie była równoznaczna z wiernością człowieczeństwu w sobie, z wiernością conradowską dla swej najgłębszej, ludzkiej natury...

Prócz tego Conrad sam nieraz doświadczał, jak trudna jest wierność temu, co w nas najlepsze. Jest przecież coś w człowieku — przedstawił później ten problem w „Lordzie Jimie“ — co przeszkadza mu nieraz postąpić zgodnie z wymaganiami względem siebie samego w krytycznej chwili. Jest jakaś skaza w samej naturze ludzkiej.

Podczas pobytu w Kongo Conrad może jeszcze tak nie myślał, ale empirycznie, obiektywnie wartość Wierności, jako nadrzędnego ideału

(Dokończenie na str. 4)

Nowe poezje

Aleksander Rymkiewicz: *Niezbrojni zwycięzcy. Wiersze olimpijskie. Czytelnik 1952. Str. 24 + 6.*

„Niezbrojni zwycięzcy“ to ważny etap w rozwoju poetyckim Aleksandra Rymkiewicza. Ten niewielki objętościowo tomik zapowiada fazę pełnej krystalizacji, pełnej dojrzałości artystycznej i intelektualnej autora. Klasycyzm tej książki nie jest klasycyzmem udanym, klasycyzmem zamierzonym — jako forma — stylizacji.

Dawny piewca metafizycznych niepokojów i historycznego pesymizmu, które tak silny wyraz znalazły w jego ostatnim przedwojennym tomie — „Potokach“, przemiełił tym razem jako poeta zdobywczego optymizmu swojej epoki. Surowa prostota tych wierszy, ich opanowany, spokojny styl wyraża ostateczne pożegnanie z okresem „burzy i naporu“, z fazą poszukiwań własnej drogi poetyckiej. Pieśń na chwałę „niezbrojnych zwycięzców“ jest zarazem pieśnią zwycięstwa samego poety.

Kojarzenie nowoczesnych olimpiad ze starohelleńskimi stało się w poezji o tematyce sportowej zwyczajem trącającym już cokolwiek manierą. Przede wszystkim dlatego, że rozmaite Apelliny, Pindary, dyskolobe Mirona, Spartanie z Termopili i Ateńczycy spod Maratonu kręcili się wśród szermiurzy, piłkarzy i bokserów jako goście honorowi „zaszczycający“ swoją obecnością, ale nie konkretnego nie mający tu do roboty. U Rymkiewicza ten antykwarско traktowany helleński sztafaż zostaje radykalnie przywyciężony. Poeta nie mitologi-

zuje współczesnych olimpijczyków, nie hellenizuje ich i nie apolinizuje, ale — odwrotnie — rzutuje na współczesne tło helleńskie idee olimpiad, konfrontuje ich realną ludzką treść z rzeczywistością naszego życia, z walką człowieka naszych czasów o zwycięstwo nad własną słabością, nad ślepyimi mocami żywiołów, nad złą wolą pogrobowców imperializmu i faszyzmu, grożąca światu pracy, radości i ludzkiego braterstwa. Najgłębiej humanistyczny sens staro helleńskich olimpiad odczytujemy z wierszy Rymkiewicza jako wciąż ważny i obowiązujący. Idea olimpijska wpisana zostaje w te utwory jako jeden z czynników realnej walki o porozumienie między narodowe, o uszlachetnienie form współzycia ludzkiego, o mobilizację sił do ludzkiej przyszłości i walki z nieujarzmionymi jeszcze siłami przyrody.

Motywy helleńskie nie są w „Niezbrojnych zwycięzcach“ motywami ornamentacyjnymi, ale stają się integralnymi składnikami utworów tego cyklu. Stosunek poety do przeszłości starogreckiej polega na przeżywaniu jej w perspektywie zadań i trosk człowieka współczesnego i dlatego właśnie przeszłość ta staje się nie martwą artystowską rekonstrukcją, ale „czasem odczytanym“ realnego przeżycia humanistycznego.

Sport stał się w okresie dwudziestolecia bardzo modny. Zainteresowanie to wzięło się z dwoma typowymi dla tego czasu mitami, z których pierwszy miał charakter wyraźnie regresyjny, drugi — pozornie jak najbardziej „postępowy“ i „przyszłościowy“. Były to: witalistyczny mit „pe-

ni życia“ i mit cywilizacji jako wartości absolutnej, niezawodnej gwarantki powszechnego dobrobytu i szczęścia. Pierwszy z tych mitów eksploatował przede wszystkim sport „czysty“ (lekkoatletyka, hoks, piłka nożna), drugi — te dziedziny sportu, których rozwój pozostaje w związku ze zdobywaną współczesną techniką (automobilizm, lotnictwo). Oddziaływanie obu tych mitów na świadomość zabłąkanych w witalizm i kult cywilizacji artystów sprzyjało mitologizacji samego zjawiska sportu, odrywaniu go od realnego związku z całokształtem współczesnego życia i u symbolicznianiu jako wyrazu biologicznej tężyzny pokolenia, narodu, „rasy“. Sport tracił w ten sposób wszelką konkretną wartość, stawał się rezerwuarem tematów i motywów hurraoptymistycznych, „krzepiących serca“ wystraszonych już cokolwiek i niezbyt pewnej jutra burżuazji.

Rymkiewicz odmitologizował poetyckie widzenie sportu, urealistycznił je. Można, oczywiście, zastanawiać się nad tym, czy ten realizm ogarnie w sposób pełny i dostatecznie pogłębiony zagadnienie roli sportu w całokształcie problematyki społeczno-wychowawczej, a nawet szerzej mówiąc — ogólnohumanistycznej życia Polski Ludowej, tych spraw jednak nie da się omówić wyczerpująco na marginesie krótkiej recenzji.

Wszelkie ewentualne zastrzeżenia nie zmieniają zresztą faktu, że ostatni tom Rymkiewicza świadczy o niewyczerpaniu się możliwości rozwojowych poety, o dojrzywaniu jego stylu do wyrażenia czynnego i zdobywczego optymizmu naszej epoki.

Stefan Lichański

Podróż Conrada do jądra ciemności

etycznego niepodporządkowanego Boga i miłości bliźniego, została już wtedy poddana krytyce. Nie analizując tych spraw, Conrad stwierdził, że istnieje w człowieku jakaś skaza, którą chrześcijanie nazywają skutkami grzechu pierworodnego. Więcej — dostrzegł związek niektórych wybitnych dusz — jak Kurtz — z szatanem, którego nazwał Ciemnością lub (w „Placówce postępu”) wprost Złym Duchem.

Nie dostrzegł jednak nigdzie Boga. Niebo wydawało się zimne i obojętne na to, co dzieje się na ziemi. Rzeczywistość zaprzeczała istnieniu Opatrzności pojmowanej na sposób romantyczny — jako rychłej i sprawiedliwej interwencji Boga. Oddalony od katolickiego otoczenia, Conrad uznał Ewangelię Odkupienia za „baśń orientálną”, nie mając zaś styczności z sakramentalnymi źródłami łaski, uznał człowieka za oddanego „samotności niezmiernie, samotności, która otacza, owija, odziewa każdą duszę ludzką od kolebki do grobu i może poza grobem”.

Uczucie solidarności i wzajemnej życzliwości wszystkich ludzi, którzy żyją według „ewangelii własnego serca” oraz stoicka postawa wobec życia były jedynym sposobem złagodzenia tragizmu istnienia.

W taki sposób Conrad dojrzewał jako człowiek. Gdy się przeczyta uważnie jego powieści (zwłaszcza „Zwycięstwo”), widać jak bliski i jak daleki był od katolicyzmu.

Przebudzenie duchowe, wywołane poznaniem przepaści zła, otworzyło Conradowi oczy tylko na niektóre prawdy katolicyzmu. To, że nie ujrzał wszystkich, było skutkiem mylnej po części interpretacji tych, które dojrzał. Zamiast, do, ofnej, wierności Bogu — doszedł do rozpaczli-

wej wierności „ewangelii własnego serca”. Zamiast przykazania społecznego miłowania i życia — postawił nakaz życzliwości wzajemnej samotnych jednostek. Trudno dociec, jakie były przyczyny moralne tego niepełnego oświecenia. Jeśli chodzi o przychyny intelektualne, najważniejszą chyba był dostrzeżony przez H. G. Wellsa brak *education of mind* — dyscypliny umysłowej. Należy pamiętać, że Conrad nie skończył szkoły, że nigdy nie wytworzył sobie wykończanego filozoficznego obrazu świata i że nie umiał wybrać określonego kierunku w polityce.

Mimo to, dzięki wielkiej prawości i wrażliwości, Conrad dotarł do głębi rzeczywistości na sposób poetów — poprzez syntetyczne poznanie prawdy życia i przez odzwierciedlenie jej w *poetyckim* obrazie świata — w swojej twórczości.

POETA, KTÓRY PISAŁ FOWIEŚCI

W Kongu dojrzewał nie tylko człowiek, lecz i wielki poeta. To nie, że Conrad nie pisał wierszy. Jak Szekspir był poetą, który tworzył sztuki, tak Conrad był poetą piszącym powieści. I może jako typ twórcy najwięcej przypomina właśnie swego umiłowanego Szekspira.

Między przebudzeniem duchowym Conrada i rozpoczęciem pisania książek istnieje ścisły związek. Gdy młody kapitan żelaznego pudła unieruchomionego na wielkiej rzece afrykańskiej zasiadł w cienistej kajuncie do pisania „Szaleństwa Almayera” — powieści o konflikcie ras — kierował nim nakaz moralny. Sztukę — pisał w parę lat później — „można określić jako wysiłek ducha, dążący do wymierzenia najwyższej sprawiedliwości widzialnemu światu przez wydobywanie na jaw prawdy —

Dokończenie ze str. 3

wielorakiej i jedynej, ukrytej pod wszelkimi pozorami” („Murzyn z załogi Narcyza”). Był przekonany, że „każdy przedmiot w dziedzinie intelektu i uczucia musi mieć swój sens moralny, jeśli jest traktowany z całą szczerością” („Traf”).

Nie potrzeba było moralizować. Wystarczyło otworzyć prawdę rzeczywistości. Poznawczo-moralny cel sztuki pisarskiej osiąga się według Conrada przez poetyckie, dogłębne odwzorowanie świata w słowach. „Chcę, abyście przez potęgę pisanego słowa mogli słyszeć, czuć, a przede wszystkim — widzieć” — pisał.

Conrad nie umiał układać powieści. Gotową wizję, która go nawiedziła, starał się wyrazić w słowach, walcząc nieraz długie godziny z oporem języka, zanim udało mu się odtworzyć prawdę „ukrytą pod wszelkimi pozorami”. Dzięki temu powieści i nowele Conrada są tak żywe, pełne siły wyobraźni i potężnej emocjonalności.

Ten poetycki element głębi nazwa no romantyzmem Conrada. Obok niego występuje drugi, wpływający z przekonania, że „powieść jest historią, ludzką historią, i nie jest niczym”. Jest nim wierność współczesności, czerpanie z rzeczywistych przeżyć, operowanie aktualnością — jednym słowem realizm. Ze względu na obecność obu tych elementów w powieści Conrada historycy literatury angielskiej najczęściej nazywają go „romantycznym realistą”.

OSTATNI PORT

TAKI człowiek i taki artysta zstąpił z pokładu *Torrrensa* we wrześniu 1893 r. Dobrze, że się tak stało. Łatwiejsze do obsługi, szybsze i hałaśliwe parowce z długimi kominami szybko wypierały żagiel i nie jeden ucziwy kapitan tracił życie wraz z okrętem w katastrofie sztucznie spowodowanej przez właściciela-kombinatora dla zdobycia odszkodowania, jak to czytamy we „Wspólniku” i „U kresu sił”.

Conrad pamiętał o tym wszystkim. W powieściach i nowelach powracała przeżyta na nowo młodzieńcza przygoda. Kolorowy świat kolorowych ludzi w zetknięciu z drapieżną cywilizacją białych awanturników, wierna służba ludzi morza — wszystko to otrzymywało, najwyższą sprawiedliwość, na jaką było stać wielkiego artystę.

Conrad zdobył sobie szacunek i uznanie pisarzy angielskich od razu. Nie był jednak pisarzem bardzo pożytecznym. Pisał powoli, z trudem — nieraz kilka zdań dziennie. Nie mogło to wystarczyć na utrzymanie, więc chciał wrócić na morze. Aby do tego nie dopuścić, przyjaciele wystarali się o regularnie wypłacaną zapomogę z królewskiej „listy cywilnej”. Dopiero w 1913 r. „Traf” („Chance”) przyniósł pisarzowi popularność — wstęp do światowej sławy.

Pierwsze utwory Conrada — to seria wspomnień z wieloletniej włości po obszarach kolonialnych, wspomnień przeżytych na nowo przez człowieka, który przeżył Kongo. Najważniejszym z nich są „Murzyn z załogi Narcyza”, „Lord Jim” i „Jądro ciemności”. „Nostromo” — rodzaj „summy społecznej” Conrada — wieńczy ten okres, a „Zwierciadło morza” kończy go osobistym zwierzeniem.

Później, po r. 1906, Conrad czerpie tematy z życia współczesnej burżuazji („Tajny agent”, „W oczach zachodu”, „Traf”), nie porzucając jednak wspomnień z malajskich archipelagów i wracając pod koniec życia do Morza Śródziemne-

go, epokę napoleońską i powstaniewej („Złota strzała”, „Korsarz”, „Książę Roman”). Dzieła tego okresu są równie tragiczne, lecz mniej pesymistyczne. Niektóre, jak „Zwycięstwo”, wydają się zapowiadać afirmację potęgi miłości, wiary w to, że może ona przetrwać śmierć.

Śmierć zaskoczyła Conrada u szczytu sławy. Gdy padł rażony atakiem sercowym 3 sierpnia 1924 r., od roku już wychodziło monumentalne wydanie wszystkich jego dzieł, ozdobione Nałęczem Korzeniowskich.

Ciało Conrada pochowano w Canterbury. Na kamieniu grobowym widnieje jego pełne, polskie nazwisko. Nazwisko to, czy to w pełnej czy skróconej formie, upięszczone na niezliczonych już teraz wydaniach książek, zawsze będzie świadczą, że Conrad — użyjmy tu określeń angielskich krytyków — był „Polakiem, który wzbogacił literaturę angielską”, że był „polskim geniuszem Anglii”.

POLSKOŚĆ Conrada z powodu braku kontaktu z życiem polskim wyraziła się w tematyce nie wielu tylko utworów (jak np. „Amy Foster”), ale jest wyczuwalna dla każdego czytelnika brytyjskiego, dla każdego krytyka.

Nie zawsze łatwo jednak wyczuć ją Polakowi. Nic dziwnego, że pierwsze przyjęcie Conrada w Polsce było niechętnie. Wiadomości o nim dotarły do Polski jeszcze przed upływem XIX w. gdy Świętochowski rozprawił się z absenteizmem — ówczesną zewnętrzną i wewnętrzną emigracją. Fakt przyjęcia przez Conrada poddaństwa brytyjskiego i pisania po angielsku został osądzony bardzo surowo. Krytykę rozpoczęła Orzeszkowa, pisząc publicznie i prywatnie (do Conrada) listy, które obryzwały mu autorke „Nad Niemnem” na zawsze. „Nie przyniosł mi nic tej baby!” — wybuchnął jeszcze po wielu latach, gdy Aniela Zagórska chciała mu dać do czytania Orzeszkową.

Legenda o zdradzie polskości karmiła się później alegoryczną interpretacją „Lorda Jima”. Jim miał być Conradem, który opuścił nawet tonację ojczyzny w momencie słabości, a później bezskutecznie próbował odpokutować swój czyn, pedzony wyrzutami sumienia z miejsca na miejsce.

Wszystkie takie „sądy” nad Conradem polegały na nieporozumieniu. Zapominano, że decyzję opuszczenia kraju powziął szesnastoletni chłopiec. Nie brano pod uwagę tego, że nie wyrzekł się swej narodowości. Wybrał tylko między poddaństwem carowi a obywatelstwem liberalnego kraju, który udzielał wtedy azylu zarówno Marksowi, jak i zakonnikom z Niemiec i Francji. Nie zapomniał nigdy polszczyzny i nie przestał śledzić losów Polski, a gdy mógł, pieniądzem i piórem wspomagał jej sprawę.

Można by mieć co najwyżej żal do Conrada, że pisał po angielsku, a nie po polsku. Ale inaczej nie mógł. Gdyby zaś zmusił się, nie wiadomo czy zostałby pisarzem swej miary. Praca na pokładzie i przygody na

złoty morzach Wschodu były tak mocno związane z mową angielską, że trudno byłoby oddzielić słowo od życia. „Moja zdolność pisania po angielsku — powiedział kiedyś — jest tak naturalna, jak wszelka inna sprawność, z którą się mogłem urodzić. Mam dziwne i przemożne uczucie, że zawsze była istniejącą we mnie cząstką mej osoby”.

ŹRÓDŁO SMUTKU I ŹRÓDŁO POCIECHY

OSKARŻENIA o „zdradę” i świadomość beznadziejnego położenia Polski pod zaborami niewątpliwie pogłębiały jego poczucie osamotnienia i skłonność do pesymizmu.

Conrad bowiem, najsurowszy dla siebie sędzią i odrzucający zarzut niewierności — w końcu, zdał sobie w pewnym momencie sprawę, że przez porzucenie kraju stopniowo się wynaradawia.

Pociechą w tym tragicznym dla Conrada rozdźwięku między pragnieniem zachowania wierności Polsce a faktami własnego życia były polskie przekłady jego dzieł. Conrad dbał o ich poziom, a cenil je sobie tak wiele, że gdy raz chciał wyrazić Garnettowi swą miłość i przyjaźń, obdarzył go *polskim* egzemplarzem swej pierwszej powieści — tej, w której Garnett ujrzał zapowiedź geniuszu.

„Opowieści wybrane”, które ukazały się w wydaniu PAX'u, są szczupłym, lecz przy swojej szczupłości reprezentatywnym wyborem nowel Conrada. Ukazują się, gdy po krótkiej przerwie zainteresowanie Conradem budzi się na nowo także i w Anglii. Czytelnicy widzą w nim tego, „który ma dziś najwięcej do powiedzenia”. Polski czytelnik, otworzywszy „Opowieści”, zdziwi się ich aktualnością, ulegnie — miejmy nadzieję — ich *fascination* i przez poznanie jądra ciemności zwróci się ku światłu.

Tytuł „Opowieści wybrane” jest dziełem wydawców. Słowo „wybrane” podkreśla oryginalność doboru i, w pewnym sensie, wyjątkowy charakter czterech nowel. Wybrano tu opowieści, które zawierają obraz stosunków kapitalistycznych. „Jądro ciemności” i „Placówka postępu” — to studia kapitalistycznego imperializmu na terenach kolonialnych. „Amy Foster” przedstawia jego antyludzką działalność w krajach półkolonialnych, gospodarczo zacofanych, jak Polska pod zaborami. „Wspólnik” wreszcie ukazuje tę działalność we własnym domu — w kraju, który wszedł w stadium kapitalistycznego imperializmu.

Przez zestawienie nowel, w których powtarza się (choć nie zawsze wysunięte przez autora na plan pierwszy) potępienie kapitalizmu jako praktyki, wydawcy zwrócili uwagę czytelnika na obiektywną wymowę „Opowieści”.

W ciemnozielonym egzemplarzu „Opowieści” widać pewne usterki, spowodowane zapewne pośpiechem. Nie są one jednak tak wielkie, by psuć czytelnikowi lekturę.

Witold Ostrowski

Uwagi o kulcie Matki Bożej

(Dokończenie ze str. 1)

rodzonego życia. Ten rozwój musi postępować organicznie, według jakiegoś prawa wewnętrznego, które jakkolwiek obiektywne, w każdym indywidualnym wypadku kształtuje się w pewien sposób szczególny. O ile życie wewnętrzne nie zatrzyma się w swym rozwoju, nie zdegeneruje i nie ulegnie załamaniu, to w pewnym momencie musi natknąć się na „rewelację” Maryi, musi ją zrozumieć i musi wyciągnąć z tego odkrycia wnioski praktyczne. Na tym etapie będzie to już warunkiem jego dalszego normalnego rozwoju.

Poznanie nadprzyrodzonej rzeczywistości i jej praw w stopniu takim, jaki jest dla danego człowieka dostępny, jest warunkiem rozwoju jego życia wewnętrznego, a tym samym jest jego ścisłym obowiązkiem. Dlatego pierwszą cechą zdrowego kultu Matki Bożej będzie wyśitek intelektualny, zmierzający do poznania i zrozumienia roli Maryi w życiu Kościoła i w naszym życiu własnym. W ślad za tym poznaniem muszą iść praktyczne wnioski dla naszego życia wewnętrznego.

Musimy czcić Maryję, jak czci Ją Kościół i dlatego samego, dlatego czci Ją Kościół — ponieważ jest Matką Boga i Jego najdoskonalszym narządem, ponieważ jest Matką naszą i sprawczynią naszej świętości.

Maryja jest osobą tak nam obiektywnie bliską. Jej rola w naszym życiu wewnętrznym jest tak wielka, jest Oną w jego rozwoju, można by rzec, tak dalece zainteresowana, że byłoby rzeczą dziwną, gdybyśmy nie szukali z Nią modlitwobymu kontaktu, podobnego do tego, który powinien nas łączyć z Jezusem Chrystusem.

Ponieważ wszelkie łaski i na nas, i na innych spływają za Jej pośrednictwem, a każda modlitwa idzie do Boga przez Nią, wydaje się, że ten niezmiernie istotny fakt wymaga pewnego zaakcentowania w naszych modlitwach i że należy dziękczynnie i prośby zanosić do Boga za Jej pośrednictwem.

Maryja jest dana nam nie tylko jako pośredniczka, ale i jako wzór dla naszego życia. Naśladujemy Ją zawsze wtedy, choćbyśmy nie zdawali sobie z tego sprawy, gdy wykonujemy wolę Boga, gdy robimy coś dobrze, tak jak On sobie tego życzy. Naszym zadaniem wewnętrznym jest naśladowanie Chrystusa, a nikt nie dokonał i nie dokona tego dokonałej, niż Maryja. Jej wewnętrzna doskonałość i życie są wzorem wewnętrznej doskonałości i życia każdego z nas i nie należy chyba świadomie rezygnować z korzystania z tego wzoru, który tak wiele może nam ułatwić i który tak wiele pozwala zrozumieć.

Wydaje się, że te zasady są w jakiś sposób nieodłączne od prawdziwej maryjności. Sposób, w jaki zostaną one skonkretyzowane, jest już rzeczą mniej lub więcej indywidualną, rzeczą swobodnego wyboru tej czy innej drogi. Nawet używanie środków tak powszechnych w Kościele, jak różaniec, nie jest rzeczą bezwzględnie konieczną. Oczywiście to skonkretyzowanie nie może być wynikiem jakiegś przypadkowej fantazji czy osobistej wygody, ale musi wynikać z rozumnego dostosowania praw ogólnych do indywidualnych warunków, rzeczywistych potrzeb i możliwości, wreszcie do uspo sobienia.

Kazimierz Białoostocki

„NA OKRES KOMUNIJNY”

ŁAŃCUSZKI SREBRNE, ZŁOCONE, STEELONOWE, MEDALIKI, RYNGRAFY ŚWIECE DEKOROWANE, OBRAZKI KOMUNIJNE, RÓŻANEC

p o l e c a

„VERITAS”

Białystok, Dąbrowskiego 1
Bydgoszcz, I Maja 54
Częstochowa, 7 Karłowicza 27
Gdynia, Świętojańska 46
Głogów, Mickiewicza 38
Kalisz, Garbarska 2
Kraków, Sławkowska 20
„ Księgarnia Krakowska
„ Sw. Krzyża 13
Lublin, Królewska 7
Łódź, Andrzeja Struga 14
Nowy Sącz, Sw. Ducha 3
Opole, Katedralna 1

Pabianice, Armii Czerwonej 27
Poznań, Kantaka 10
Racibórz, Długa 39
Sopot, Plac Bieruta 7
Siedlce, Świerczewskiego 20
Szczecin, Śląska 7
Świdnica, Nowotki 48
Tarnów, Krakowska 39
Toruń, Rynek Staromiejski 17
Warszawa, Widok 5
„ Mokotowska 13
Wrocław, Katedralna 6
Zielona Góra, Świerczewskiego 67

H Y M N Y R I G W E D Y

WEDY — święte księgi hinduskie — stanowią ogromną, wiekami tworzoną literaturę religijną, filozoficzną, moralną i obyczajową tego odłamu ludów indoeuropejskich, który przed tysiącami lat wywędrował z Europy środkowej i osiadł w Hindostanie. Najstarsza z tych ksiąg — Rigweda — liczy obecnie około pięciu tysięcy lat, a jej najdawniejsze hymny powstały jeszcze w czasie wielkiej wędrowności, na długo przed dotarciem tego szczepu do dorzecza Gangesu.

Wedy zaczęto w Europie poznawać dopiero na początku wieku dziewiętnastego, ale i dzisiaj znajomość ich ogranicza się do szczupłego koła uczonych. — Toteż mało kto wie, że już w najstarszych hymnach Rigwedy z masy pierwotnych pojęć o wszechświecie wylania się myśl o Bogu jednym, o Twórcy jedynym. Oto, dla przykładu, pierwsze wiersze hymnu „Do Indry”:

„Ten pierwotny Mędrzec-Bóg, co bogi
Obdarzył mocą, Ten, przed którym z trwogi
Obydwa światy drżą, to wielkie Imię
Grozy olbrzymiej — o, ludzie! — to Indra”.

Indra — jak wierzy poeta — jest opieką słabego i biednego, łaskawy dla pracy i skargi, karzący zbrodnie, jeden dla zwycięzców i zwyciężonych. Pomimo naiwnej obrazowości porównań poetyckich ma on już główne cechy Istoty Najwyższej, Nieogarnionej, Wszchemocnej i Wszchsprawiedliwej.

Niewątpliwie pod wpływem tego hymnu — jeszcze z epoki koczowniczej — powstał drukowany niżej późniejszy hymn „Do nieznanego Boga” (porównanie Boga do cudu złocistego kiełka rośliny wskazuje na osiadłą epokę rolniczą). W hymnie tym zwraca uwagę już sam tytuł — najbardziej jaskrawe świadectwo przewijającej się stale w Wedach myśli o nierozpoznawalności Istoty Najwyższej.

Powyższy komentarz jest wyciągiem ze wstępu Tłumacza do przygotowanego przezeń przekładu dwunastu hymnów Rigwedy, z których cztery wykorzystuje nasza redakcja. Poetyckie opracowanie tych hymnów tłumacz oparł na ich naukowym przekładzie z oryginału na język polski dokonany przez sanskrytologa, Stanisława Fr. Michalskiego („Czterdzieści pieśni Rigwedy”, wyd. Ultima Thule, Warszawa—Kra-ków 1912). Przypisy pochodzą od Tłumacza.

X.121. DO NIEZNANEGO BOGA

- Złocisty kiełek wstał w brzasku istnienia,
I był jedynym władcą z urodzenia.
On rozlał morza i utwierdził światy —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?
- On daje oddech, moc. Co on zapowie,
Świat spełnia, wszyscy słuchają bogowie,
Śmierć, nieśmiertelność — dwie jego poświaty —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?
- Własną swe włości potęgą rozszerza,
I oddech ziemi, i jej sen odmierza,
On — król człowieka, i ptaka, i zwierza —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?
- Jego ogromem wstały gór korony,
On morza, pono, spiał w ładów opony,
Ramiona jego — cztery świata strony —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?
- On nieba wielkie i ziemię utwalił,
Na widnokręgu On słońce zapalił,
W bezdrożach bytu On wymierza światy —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?
- Ku niemu patrzą wojsk wrażeń czerniawy
I sercem modlą się pełnym obawy,
On zorzy wschodniej blask roznieca krwawy —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?
- Gdy ongi wielkie pra-wody z rozgwarem
Spłynęły ognia obarczone darem,
On oddech bogom dał tchu swego żarem —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?
- Źrenice jego ponad wód rozłogi,
Z których jest siła i żertwa bez trwogi,
On — Bóg jedyny ponad wszystkie bogi —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?
- Niech nam nie szkodzi On — światów rodziciel,
Wielki w swej prawdzie, On — nieba stwórzyciel,
Który dał ziemi móż przezrocze szaty —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?
- O, Pradzapati! Nikt! — nikt inny ponad tobą
Tego ogromu bytów nie ogarnia sobą.
Wśród żertw błagamy, niechaj nam szczęście wiodarzy,
Niech nas bogactwem szczodra twa ręka obdarzy.

X.129. POCZĄTEK RZECZY

- Niebył wonezas nie istniał. I bytu nie było.
Nie istniał przestwór. Puste były niebios tonie.
Co rwało się ku życiu? Gdzie? I w czym tonie?
W jakich otchłaniach morze niezgłębione żyło?
- Ani nieśmiertelności, ni śmierci bezedno
Nie istniało. Dzień wtedy nie łamał się z nocą.
I nic nigdzie nie było. Jeny własną mocą
Bez oddechu w nicości oddychało JEDNO.
- Ciemność była okryta ciemności siermięgą.
I było wszystko morską, bezkształtną nawałą.
Tylko prażródło bytu w pustyni tej trwało,
A z niego JEDNO żaru powstało potęgą.

4. Z tego wytrysła żądz i na życia fali
Stała się pierwszym ducha siewem i zakwitem.
Ten oto związek bytu znaleźli z niebytem
Mędrcomie, którzy w sercu go własnym szukali.

5. Przeciągnęli na ukos miernicze swe sznury,
By rozpoznać, co w dole i co było w górze?
Byli dawcy zarodki, sił skupienia duże,
Samoródtwo u dołu, dążenia u góry.

6. Lecz skąd znów to powstało? Skąd ta twórczość nowa?
Czy wie kto o tym wszystkim? I kto nam to powie?
Równo ze światem byli stworzeni bogowie,
Któż przeto może wiedzieć, skąd bytu osnowa.

7. I kto to cisnął w twórczość różności zarzewie?
— Kto ją stworzył, lub może nie stworzył — mocarny
Pan w najwyższych niebiosach, władca gospodarny —
Ten wie zapewne wszystko. A może też nie wie?...

VII.103. Ż A B Y

- Żaby rok cały, jak bramani,
W ślubach milczenia spoczywały,
Aż ożywione dżdżem Pardżanji
Chórem się zgodnym odezwały.
- Gdy z niebics wody spadły na nie,
Jak na zeschnięty wór w sadzawie,
Żab się rozległo rechotanie
Głośnie, jak poryk krów w dubrawie.
- Gdy deszczów czas się zapowiada,
Spragnionym ziemia w mgły spowita,
„Akkhali, akkhal” — żab gromada
Woła i jedna drugą wita.
- Jak ojciec z synem się wesela,
Jasna je cieszy wód ulewa,
Skaczą, radują się kąpielą,
Spółem zielona i pstra śpiewa.
- Gdy tak za tamtą ta powtarza,
Jak uczeń po nauczycielu,
Strojny się wtedy chorał stwarza
Pośród wód z pięknych głosów wielu.
- Głosami krów i kóz wołają
Kumki, pstrokate i zielone,
Kształt różny — jedno imię mają,
Na różne tony w chór złączone.
- Jak w noc sadzawę przy objacie
Otacza bramanów drużyna,
Tak wy — o, żaby! otaczacie
Dzień, który porę dżdżów zaczyna.
- Niby modlitwę bramanowie.
Wtórzycie pieśni rocznej słowa,
Jako przy kotłach adwarjowie.
Stajecie, żadna się nie chowa.
- Prawo miesiąca dwunastego,
Gdy już się letnie żary chylą,
Przemądre bez ochyby strzegą
I nigdy pory swej nie zmylą.
- O, wy! ryczące krów i kóz głosami,
Otwórzcie, żaby! naścież skarbów dźwięrza,
Hojnie obdarzcie nas byków setkami,
Przedłużcie życie przy wielkiej ofierze!

X.146. DO ARANJANI

- O, Aranjani, Aranjani!
Czy lęk cię spętał, Leśna Pani!
Że błądzisz w boru, błądzisz wkoło,
A nie zapytasz się o siolo?
- W głos Aranjani się wesci,
Gdy na skrzek żabki z wód topieli
Wiwilga z cicha się odzywa
I jak na fletni jej przygrywa.
- Tam oto bydło brnie z pastwiska,
Tam — niby chaty zrab polyska,
A tu, jak turkot kół z wieczoru,
Głos Aranjani huk w boru.
- Tam krowy ktoś przyzywa z dala,
Tam znów — rąbanie słycać drwała.
Stanął mieszkaniec w bór wsluchany:
Krzyk mu się zwidział podejrzany.
- Lecz Aranjani nie zabija,
(Chyba to obca ręka czyja...)
Słodkim owocem posilona
Do snu już kłoni się zdrożona.
- Ziołami wonnej i ostróżnej,
W żywność bogatej, choć bezpluźnej;
Zwierząt maciesz, Leśnej Pani
Cześć oto składam Aranjani.

UWAGI

DO HYMNÓW

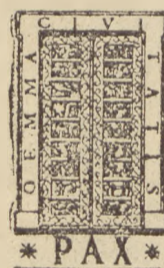
NUMERACJA. Rigweda zawiera 1028 hymnów, podzielonych na 10 mandali, czyli ksiąg. Tu przy tytułach liczba rzymska oznacza kolejną liczbę mandali (księgi), a liczba arabska — kolejną liczbę hymnu w danej mandali, zwrotki zaś także są liczbowane, a wszystko — zgodnie z przekładem naukowym. Tym sposobem ułatwiam zestawienie mojego opracowania hymnów z przekładem p. St. F. Michalskiego, a poprzez nie go — z oryginałem.

DO NIEZNANEGO BOGA. W oryginale, w przekładzie naukowym i w moim opracowaniu miara wiersza ta sama — jedenastozgłoskowa. Tylko ostatnią zwrotkę zmieniłem na trzynastozgłoskową, a to ze względu na wybitnie różny jej charakter jako finału (tak samo, jak w hymnach „Do Indry“ i „Żaby“).

ŻABY. W oryginale wiersz ośmiozgodkowy, w przekładzie naukowym i w moim opracowaniu — dziewięćzgodkowy. Tylko ostatnią zwrotkę zmieniłem na jedenastozgodkową jako finał hymnu, wyraźnie od całości wyodrębniony.

DO ARANJANI. Druga połowa zwrotki 5-tej w przekładzie naukowym brzmi: „Słodkim owocem posilony Wędrowiec idzie na spoczynek”. Zmieniłem tu treść na: „Słodkim owocem posilona Do snu już kłoni się zdrożona”, odnosząc te słowa do Aranjani. O ile w oryginale słowo „wędrowiec” może stosować się bez zmiany gramatycznej tak samo do kobiety, jak do mężczyzny, to moje opracowanie tego miejsca jest usprawiedliwione. Wtedy również otrzymuje się ścisłą łączność pomiędzy pierwszą, a drugą połową zwrotki, albo wiem skoro „Aranjani nie zabija”, zatem pożywia się owocami. O ile zaś oryginał w tym miejscu mówi niewątpliwie o jakimś wędrowcu (a nie o Aranjani), to zmiana moja nie jest odstępstwem aż tak wielkim, żebym go miał się wyrzekać, a dodaje tu wzruszenia i skupienia zamiast opisu i rozproszenia.

St. P.



Stefania Skwarczyńska
STUDIA I SZKICE LITERACKIE
Cena zł 45,—

Sigrid Undset
OLAF SYN AUDUNA
2 tomy
Cena zł 76,—

Janina Kolendo
SZUKAJĄC DROGI
Cena zł 20,—

Tadeusz Gałczyński
UTWORY ZEBRANE
Cena zł 25,—

J. Nowak-Dłużyński
Ks. STANISŁAW KONARSKI
Cena zł 20,—

Tadeusz M. Milewski
GEOGRAFIA WYŻYWIENIA
Cena zł 25,—

Aleksander Rogalski
KATOLICYZM W NIEMCZECH
PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ
Cena zł 20,—

Joseph Conrad
OPowieści WYBRANE
Cena zł 22,—

Wysłać Biuro Sprzedaży „PAX”,
Mokotowska 43, Warszawa, za za-
udzeniem lub po wpłacie na kon-
to PKO Nr I-8515 z dołączeniem
zł 3.— na koszt przesyłki.

Leon DWERNICKI

WŚRÓD LUDZI I JEZIOR WARMII I MAZUR

Matko, trzymaj głowę do góry...

PRZEZ okna wolno sunącego wagonu kolejowego rozwija się taśma krajobrazu warmińskiego: wzgórzka poroite przez pługi, szare, piaszczyste poleka, pięknie rozczesane przez bronie, wielkie, zielone plamy ozimów, od czasu do czasu w długich rynnach błyszczące jezioro. „Czas był wiosenny o switanie”... i dalej zupełnie tak samo jak w reymontowski opisie — myślałem, zdążając w kierunku Olsztyna i Szczytna. Wąpnię, czy w literaturze naszej ktoś w sposób tak prosty i malowniczy zdołał przedstawić wiosnę nad chłopskimi polami. Uważny jednak czytelnik może natychmiast zwrócić mi uwagę, że reymontowski opis dotyczy ziemi łowickiej, jakżeż więc można wiosnę łowicką przesuwając aż na północne kraje Rzeczypospolitej — na Warmię i na Mazury! Gdzie Rzym, a gdzie Krym!

OTÓŻ można, gdyż zarówno Warmia (ongiś Prusy Królewskie) jak i Mazury (ongiś Prusy Książęce), stanowią naturalne przedłużenie ziem Rzeczypospolitej ku Bałtykowi. Przyroda w okolicy Mławy, Przasnysza czy Łomży przedstawia niemal te same obrazy, co w Olsztynie, Szczytnie lub Piszcu. I tu, i tam ziemię piaszczysto-gliniastą, lasy iglaste, sporo bagien. Lud, który od wieków gospodarzy na tej ziemi, mówi pięknym językiem, który żywo przypomina mowę naszych przadków z XVII, XVIII stulecia. Ale przecież i dziś na Kurpiach w okolicy Myszynca dźwięczy ta sama mowa i chłop podobnie jak Mazur mówi: „psiwo”, „palerzyna”, „poziem” (powiem), „zino” (wino) itd.

Natomiast cechą charakterystyczną ziemi warmińsko-mazurskiej jest obfitość jezior, które są tu liczniejsze niż w innych okolicach

dy, wynarodowienie i zbrodnie dokonane na chłopie polskim.

Nie trzeba szukać daleko, by stwierdzić, jakim było życie rodzin polskich pod rządzi zaborców.

WIEŚ Kajny położona jest w pow. olsztyńskim. Od przeszło 300 lat zamieszkuje tu rodzina Żurawskich. Całe pokolenia Żurawskich szły za pługiem i broną, uprawiając pola położone na zboczach pagórków. Niejeden, urzędem obfitym zwierzyną w sąsiednich lasach, siał się zapalonym myśliwcem lub wędrował nad jeziora, by poświęcić się rybołówstwu.

Ostatnim gospodarzem, który orał i obsiewał swą ziemię, był Stanisław Żurawski. Gdy umarła mu żona pozostawiając czworo dzieci, ożenił się po raz drugi i doczekał się jeszcze cómciorga dzieci. Dwanaścioro młodych Żurawskich zapelniało gwarem obszerne izby domu w Kajnach.

Kajny liczyły 15 gospodarstw, większość stanowili Polacy. Były to jednak czasy, w których prześladowanie i terror poczęły wywierać zgnębny wpływ na polską ludność, toteż w Kajnach, choć prawie wszyscy gospodarze mówili po polsku, większość w obawie przed prześladowaniami nie przyznawała się do polskości. Powoili Prusy Wschodnie stawały się obozem koncentracyjnym, w którym metodycznie karzowano polskości.

DOM Żurawskich był czołową polskości, cała rodzina należała do Związku Polaków w Niemczech, niemczyzna nie przestąpiła progów ich domu. W Kajnach istniała tylko szkoła niemiecka, gdy jednak w Brunswaldzie powstała w r. 1928 szkoła polska, Żurawski odebrał dzieci z niemieckiej i posłał do szkoły polskiej. Pamiętamy, że w tych czasach już pręnumerowanie gazety polskiej było aktem wielkiej odwagi cywilnej.

Widziałem izy w oczach córki bohaterstwa Mazura walczącego o polskości tej ziemi, Bogumiła Linki, gdy mówiła o ojcu zabitym przez nacjonalistów pruskich i bracie, który zginął w hitlerowskim obozie koncentracyjnym: izy miała w oczach stara Mazurka Ludorf, gdy mówiła o dawnych przeciwnikach.

Pani Anna jest drugą żoną Stanisława Żurawskiego i matką Alfonsa, którego imię wyryte jest na pomniku bohaterów Warmii i Mazur w Olsztynie.

Chciałbym postawić jej wiele pytań, by móc przedstawić prawdziwy obraz walki o polskości Warmii, by wreszcie historia tej ziemi była tak znana, jak opowieść o wozie chłopca poznańskiego Wojciecha Drzymały, jak sprawa dzieci ze szkoły we Wrześni. Czy mam jednak prawo rozdzierać rany, które jeszcze się nie zagoiły?

OPOWIEŚĆ Matki jest krótka. Alfons chodził do szkoły polskiej, tak jak i inne jej dzieci. W związku z tym wójt jak mógł tak utrudniał życie, udzielał napomnień i kar, wyznaczał więcej szarwarków, nie uwzględniał podań o pożyczki na zakup ziarna, maszyn itd.

Po otrzymaniu matury Alfons rozpoczął w r. 1935 studia na Wydziale Chemicznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Był bardzo pilny i zdolny, otrzymał więc stypendium od polskiego stowarzyszenia. Przejony duchem polskości od najmłodszych lat nie uznawał żadnych kompromisów w sprawach narodowych. Polskości swą akcentował wszędzie, nie bacząc na groźące kary i nagany, utwierdzał swych ziomków w przekonaniu, że są prawymi gospodarzami tych ziem, a pruscy koloniści przysyłali są z głębi Rzeszy jedynie po to, aby zatrzeć istniejące tu ślady polskości. „Był zawzięty Polakiem i to najlepszym z nas wszystkich” — mówi Matka — „bromił sprawy polskiej, jak najświętszego skarbu”.

Jeszcze dwa semestry miał do ukończenia, gdy w r. 1939 Hitler rozpoczął wojnę. Młody Żurawski powołany został do szkoły oficerskiej. W obcym i znienawidzonym przez niego mundurze podporucznika bromił pancerną przyjechał w r. 1940 na urlop do rodziców. W tym czasie we wsi byli już polscy jeńcy wojenni, pracujący niewolniczo u pruskich „bauerów”. Alfons chodził do nich często, mówił im o Polsce, dodawał ducha i zachęcał do wytrwania. Wierzył, że imperializm hitlerowski zostanie złamany, a jego ukochana Warmia powróci do Polski.

Rozmowy te podsłuchiwał sołtys Preus i doniósł władzom hitlerowskim. Po powrocie z urlopu Alfonsa aresztowano. Półtora roku więziono go i męczono w Królewcu, a 6 października r. 1942 topór katowski w Berlinie ściał jego dumną i nieugiętą głowę.

MATKO, trzymaj głowę do góry... pisał w swym ostatnim liście; ojciec, gdy czytał ten testament syna, dostał ataku serca i wkrótce zmarł.

Oto historia rodziny polskiej na Warmii. Czy jedna? Napewno nie, są ich setki, a ile tysięcy chłopów polskich z Warmii i Mazur ubranych w hitlerowskie mundury legło na polach bitew za obcą sprawę

Polska Ludowa wzięcia Matce bohatera Krzyż Grunwaldu, pośmiertny hołd od Tej, za którą walczył.

Spoglądam na krzyż i myślę o tych, co żyją.

O wielkim przyjacielu Polski

POD koniec ubiegłego roku zmarł w Pradze w sędziwym wieku 88 lat wybitny poeta, publicysta i uczonek czeski, prof. Adolf Czerny, najszerszy przyjaciel Polaków i najgorliwszy bojownik o sprawę braterstwa i współpracy czesko-polskiej

Mimo swej natury cichej i unikającej zgilek świata, mimo słabego zdrowia, które często ratować musiał na słonecznym noluudniu Włoch lub Dal-

nazwisko od zasłużonego działacza „Czeskich Braci” w XVI w., gorącego zwolennika związku politycznego Czech z Polską. Utwory Czernego przepojone były duchem głęboką wiarą w odrodzenie ludzkości pod hasłem demokracji i sprawiedliwości społecznej, równouprawnienia ludów i utrwalenia pokoju międzynarodowego w świecie.

Polską i Polakami, literaturą i kulturą naszą szczególnie gorliwie zajmował



Adolf Czerny

macji, rozwijał w swym długim życiu nadzwyczaj czynną i owocną działalność naukową, literacką, publicystyczną i organizacyjną. On to założył przed 40 laty najznakomitszy organ słowiańszczyzny, „Słowiański Przegľad”, który przeszło 30 lat osobiście redagował, informując, pouczając i źródłowo oświetlając zagadnienia życiowe, społeczno-polityczne, gospodarcze i kulturalne wszystkich narodów słowiańskich. Do dziś „Słowiański Przegľad” Adolfa Czernego jest swego rodzaju encyklopedią wiadomości o dziejach życia i kultury Słowian ostatniego 70-lecia.

Nie uznawał on wśród Słowian żadnych wyjątków, ujmując się zawsze za pokrzywdzonymi i cierpiącymi, co spowodowało na niego niejednokrotnie i Roskiwie ataki w kraju, w Polsce i Rosji carskiej. Postępowiec, zwolennik samodzielnosci, równouprawnienia i demokratycznej formy rządów dla wszystkich narodów słowiańskich, walczył przez całe życie przeciwko wszelkiej przemocy, zarówno przeciw absolutyzmowi Romanowych czy Hohenzollernów, jak przeciw deprawacji Słowian przez Habsburgów w Austro-Węgrzech lub przeciw narodowościowemu fanatyzmowi na Bałkanach. Toteż najbliższe jego sercu były narody upośledzone, od wieków cierpiące jarzmo obcych, jak Słowacy, Polacy, Ukraińcy, Białorusini pod rządami cesarskimi czy Macedończycy w ramach Królestwa Jugosławii.

Wyzwolenie ludów słowiańskich po drugiej wojnie światowej powitał Czerny radosnym wezwaniem do narodu i słowiańskich braci, cudem niemal wyszedłszy z rąk hitlerowskich oprawców, którzy przez cały czas tzw. protektoratu trzymali go ciężko chorego pod najściślejszą kontrolą, zniszczywszy warsztat jego pracy, olbrzymią bibliotekę słowiańszczyzną i korespondencją

Jako poeta czeski i lużycki występował przez całe życie pod pseudonimem Jana Rokyty, przejąwszy imię i

się, wypełniając czasopisma czeskie setkami rozpraw naukowych, artykułów publicystycznych, przekładów poezji i prozy, sprawozdań i recenzji. Niezapomniane są jego natchnione wiersze na przeniesienie zwłok Mickiewicza, Slowackiego czy Sienkiewicza do Polski — niezapomniane też strofy poświęcone Wyspiańskiemu w jego drodze na Wawel, pocie, którego dramaty i poematy pierwszy tłumaczył na język czeski. Ostatnim swego rodzaju bohaterskim czynem literackim Czernego był wysoce artystyczny przekład całego „Króla Duch’a” Slowackiego z wnikliwym komentarzem, świadczącym o doskonałej znajomości polskiej poezji romantycznej. Przekład, rozpoczęty w roku przeniesienia prochów poety na Wawel, a dokończony już pod strażą gestapo w domu Czernego, wydany został dzięki niezłomnej energii tłumacza w r. 1939, już za „protektoratu”. W uznaniu tych wielkich zasług Czernego-Rokyty Senat Wszechnicy Jagiellońskiej uczcił go w r. 1947 tytułem doktora filozofii honoris causa najstarszej uczelni, a w r. 1948 Prezydent Polski Ludowej przyznał mu wysokie odznaczenie.

Dorobek naukowy, literacki i publicystyczny Adolfa Czernego jest olbrzymi, wynosi bowiem wiele setek pozycji, do dziś jeszcze dokładnie nie zliczonych. Przez wiele lat był Zmarły lektorem języka polskiego, lużyckiego i serbo-chorwackiego na Uniwersytecie Karola w Pradze, póki nie został zamianowany jego profesorem honorowym.

Złonek prawie wszystkich słowiańskich Towarzystw Naukowych i niektórych Akademii, poznał z autopsji całą Słowiańszczyznę i dzięki temu mógł w sposób autorytatywny zabierać głos we wszelkich sprawach spornych, jako najbardziej uczynny i najsprawiedliwszy rozjemca. Pozostawił po sobie istny magazyn wiedzy słowiańszczyzny, z którego czerpać będą całe pokolenia badaczy życia Słowiańszczyzny.

Tadeusz Stanisław Grabowski



Fragment Puszczy Piskiej

Polski. Rzeki, jeziora i bagna stanowią płacę część powierzchni woj. olsztyńskiego.

Struktury geologiczne, gleby, fauna i flory nie mógł zmienić zaborca krzyżacki czy pruski, atakował więc chłop polski na Warmii i Mazurach, by go zgnębić i zgermanizować. Okres martyrologii ludu trwał przez cały XIX i początek XX wieku. Twardzi jednak byli ci chłopcy i ziemia warmińsko-mazurska przez setki lat odcięta od Polski — pozostała Polska.

WROKU 1945 uciekli zaborcy z Warmii i Mazur, śladu nie pozostało po pruskich junkrach, obszarnikach i kolonistach, a władzę nad krajem objął lud polski.

Jeśli dziś, gdzieś nad Łabą, resztki niedobitków junkrów pruskich knują plany powtórnego rabunku tych ziem, to prawdopodobnie na szall, która ma wyważyć ich prawa, wpływy kulturalne i zasługi, kładą: gwałt, ucisk, krzyw

PRZEZ duże okna blade promienie kwietniowego słońca wdzierają się do pokoju i tworzą jasne kwadraty na ścianach. Jeden z takich kwadratów obramowuje niewielki portret wykonany ołówkiem, wiszący po nim Dyplom „Krzyża Grunwaldu Trzeciej Klasy” i stojące w wazonie na małym stoliku młode gałązki klonu.

Jasna zielen gałązek — to symbol budzącego się nowego życia, młodzieńcza twarz z portretu — to stygnat śmierci tak często spotykany w chatkach warmińskich. Alfons Żurawski ściały został toporem przez hitlerowców w r. 1942 w Berlinie. Był Warmiakem i kochał Polskę, więc musiał zginąć.

PANI Anna Żurawska czy ma pełne łez, gdy mówi o synu, wspomnienia są jeszcze zbyt świeże. Kobiety Warmii i Mazur aż do śmierci oplakiwać będą męczennstwo swych mężów, synów i braci.

Katarzyna WITWICKA

M O S I E K

NA torebce jest napisane: „Scopolamin hydrobromat, Pulv. Rod. Valeriana...“, a wewnątrz torebki tłoczą się pękate proszki w opłatkach. Oplątek jest zbyt wielki, nie mogę połknąć go w całości — muszę zawartość wysypać wprost na język.

Otwieram — w środku, utarte na małą proszek coś, co ma silny, raczej nieprzyjemny, znajomy zapach i kolor tytoniu, już spreparowanego.

— Kto wie — myślę — ile moskowskiej mądrości tu się mieści...

Mimo nieprzyjemnego smaku procedura próbkowania proszka jest o wiele prostsza, niż „nasiąkanie“ lekiem od zewnątrz...

Tak mówił Mosiek.

GDY niedawno temu byłam na wsi w okresie lata — zawędrowałam samotnie na łąkę. W pierwszej chwili wydało mi się, że jestem zupełnie sama. Ale nagle spostrzegłam, że otacza mnie rój znajomych. Osobistych, znanych mi z bliska, dawno nie widzianych, lecz nie zapomnianych i rozpoznanych od pierwszego rzutu oka. Cieszyłam się, że jestem z nimi sam na sam i mogę pozwolić sobie na to, może naiwne, ale jakże dla mnie wzruszające, powitanie.

Jak żywa stanęła mi w pamięci postać Moška. Zdawał się kroczyć tuż obok mnie i sprawdzać moją pamięć w stosunku do ziół, którymi mnie leczył.

Jako pierwsza — przywitała się ze mną waleriana. Mosiek zwał ją kozłkiem. Dopiero gdy przy pocieraniu w wodzie dla odmycia zamulone korzenie poczęły wydawać silny bardzo zapach — domyśliłam się, że to jest właśnie waleriana. Podobno już starożytni uczeni, Dioskorydes i Pliniusz, opisywali w swych dziełach tę pożyteczną roślinę, a w średniowieczu wierząco, że kłącze waleriany, połączone pod dezwiąmi, chroni domostwo od złych duchów i czarów. Nam sprawiła ona nieco niespodziewanego kłopotu: zapach jej drażnił naszą Topsis, niewiadomo czemu nazywaną „nadworną kotką“. Bałam się jej wtedy: robiła dzikie oczy, przeżyła grzbiet, wywijala esy ogonem. Miauczała i pomrukiwała jakos dziwnie niezwykajnie.

Nasz znajomy, pan Bo, mówił, że koty zawsze w taki sposób reagują na zapach waleriany. I zawsze brał kawałek kłącza kozłka i czarował nim Topsis: biegała za nim podniecona, obca, trochę niesamowita...

A oto ścieliła się przy samej ziemi, brzegiem wydeptanej ścieżki, zawsze zakurzona — ją też trzeba było myć przed włożeniem do kotła — swińska trawa. W podręczniku przyrodniczym ma ta roślina inną jakąś nazwę. Kiedyś ją odnudzalam, ale dziś już znowu pamiętam tylko tamtą, moskowską — swińska trawa. Wyrasta kępka z jednego miejsca, ale łodygi jej rozchodzą się daleko od macierzystego korzenia. Z niej brano jej wąskie, drobne, ciemne listeczki wraz z różowym kropelkami kwiatków.

A tam — arnika. Niski, żółty kwiat o korzeniach i liściach podobnych do pospolitych mleczy, tylko mniej delikatny.

Zmanierowana, niebieska cykoria, nazywana przez Moška „Piotrowe Batogi“, która ma tak mocne łodygi, że urwać ją trudno. O tym wiem z dawnych czasów. Piotrowe Batogi mogli zrywać tylko dorośli, ponieważ trzeba było pomagać sobie przy tym nożem.

Wrzos... taki niepozorny, a przecież hardy aż do przesady: nie miękł nawet pod wpływem gorącej wody. Drapał i uwiarał, gdy mię nim okładano w wannie.

Zato macierzanka była miękka, aż niemal puszysta. Gdy gotowano ją w kotłach — całe mieszkanie woniało

jej zapachem. Wszystkim się on po dobał, a Ciocia mówiła, że „pachnie jak w niebie“.

Chodziłam po łące, od kwiatu do kwiatu, ale ich nie rwałam. Zbyt wiele czułam do nich sympatii, by je pozabawiać życia. I wydawało mi się, że karygodnym marnotrawstwem jest układać z nich bukiet, podczas gdy kryją w sobie tajemnicze moce i mogą spełniać posłanniczo niesienia zdrowia.

To było naprawdę jedno z najmiłszych spotkań — to spotkanie z kwiatami. Z t y m i kwiatami.

PODOBNO przedtem byli inni — bardzo uczeni i utytułowani. Podobno kiwali głowami — współczuli, pocieszali (że to się zdarza), ale mówili gorzką prawdę, w którą zresztą sami wierzyli, że, niestety, nie się nie da zaradzić. A mię dzy słowami wypowiedzanymi głośno błąkały się inne, niedopowiedziane, o których się wiedziało jednak, że właściwie — szkoda zachodu dla takiego zmarnowanego stworzenia.

Tym zmarnowanym stworzeniem byłam ja, a o zakwalifikowaniu mnie do tej niewesołej kategorii wiem z opowiadań. I, chociaż nie pamiętam tych uczonych i utytułowanych lekarzy, do dziś czuję w stosunku do nich urazę. Nawet nie o mnie mi chodzi, bowiem ich rezygnacja z mojej osoby nie zdążyła wydać fatalnych skutków, jakie mogłoby spowodować zaniedbanie, ale o zadawanie bólu, przez odbieranie nadziei, moim bliskim.

Mosiek był tym, który pierwszy przeciął czarną wstęgę beznadziejności. Pamiętam Zofiję (sama tak wymawiała swoje imię i tak się to przyjęło), gdy weszła do pokoju i powiedziała:

— No, to Mosiek przyszedł.

To był początek, że tak powiem, konkretny. Bowiem o Mošku mówiło się już od pewnego czasu. Najpierw jakoś dorywczo i głucho: k t o s słyszał, że g d z i e s istnieje ja k i s Mosiek, który leczy. Po tej wiadomości, raczej dla czystości sumienia, że nie należy pomijać żadnej możliwości, powiedziano: — Trzeba go będzie odnaleźć...

I zapadła cisza. Nikt w nic nie wierzył. Nadzieja zdawała się być dokładnie wytrzebiona przez logikę autorytetów.

Ale to nieprawda — na nadzieję nie działa ani logika, ani autorytet. Na nadzieję nie ma śmiertelnego środka, najwyższej ogłuszającej. Lecz po najsilniejszej nawet dawce wyścierczy jedna ożywa kropla, by na dzieja ocknęła się z bezwładu letargu.

Zapytano więc kiedyś:

— A właściwie, czym ten Mosiek leczy?

— Źródłem informacji o Mošku była Zofija. Mętne to były informacje:

— Już on ma swoje sposoby — odparła.

Zainteresowanie Mošką wzrastało, jak wzrasta szybkość toczącego się z góry przedmiotu. Kulminacyjnym punktem była decyzja:

— Tego Moška trzeba sprowadzić.

Aż do tego momentu Zofija wydawała się być dobrym agentem, rozpałała bowiem zaciekawienie Mošką, ale omal go nie zagasiła całkowicie, nie mogąc dość szybko dotrzeć do tego, kogo rekomendowała. Gdzie bo wiem był ów Mosiek?

Mieszkałiśmy wówczas w Konstancinie. W Konstancinie Żydów nie było, chyba potentaci, właściciele wili, jeśli zaś o kimś mówi się „Mosiek“ — to potentatem on na pewno nie jest. Wobec tego trzeba było szukać w sąsiedniej Jeziornie, skupisku biedoty żydowskiej.

Pragnienie ujżenia Moška było już tak wielkie, że Zofiję specjalnie

zwolniono na całe popołudnie, żeby go poszła poszukać. Nieobecność jej nie trwała długo.

Weszła do pokoju, jeszcze w chustce odświętnej, ubrana jak w „wolne“ do wyjścia, i powiedziała:

— No, to Mosiek przyszedł.

Tak się zaczęła nowa era w moim życiu. Pamiętam ciemny już odzieni w pokoju i jedną jedyną, niewiadomo skutkiem jakich załamań światła tu docierającą, złotą różową plamkę, zachodzącego gdzieś słońca, na podłodze.

ZAPAMIĘTAŁAM go jako bardzo wysokiego — możliwe, iż wydał mi się takim dlatego, że ja byłam bardzo mała. Wyglądał na teglego, ale pewnie był tylko grubo ubrany — co trudno było stwierdzić na pewno, ponieważ okrywał go szczególnie długi chałat; z rękawów wystawały kościste dłonie, o powykęcanych jak stare korzenie palcach. Twarz miał charakterystyczną, jak jego jarmułka na głowie. Długa, śpiczasta i siwą brodę. Nogi tonęły w ogromnych butach, których cholewy opadały harmonia, zaś za szerokie u góry w stosunku do nogi, telepały się luźno przy każdym kroku. Całość przy pominała stare, rosochate drzewo.

Mosiek był istotnie bardzo stary. Podobno miał dziewięćdziesiąt lat. Mimo tego wieku i nawet mimo tego, że poruszał się z pewną starczą powolnością — był pełen życia i energii. Mówił prędko i wyraźnie, chętny był do usług i — choć ledwo laził — zawsze powiadał: „ja polecę“.

Zaprowadzono mnie do kuchni, w której czekał. Nie „badał“ w znaczeniu normalnie pod tym rozumianym

praktyki lekarskich — nie dotykał mnie, tylko mi się przyglądał.

W jego głęboko zapadniętych, z czerwonymi obwódkami oczach, było coś osobnego od całości Moška. Jak by Mosiek z jarmułka, chałatem, ogromnymi butami — były jedną, a oczy drugą, zupełnie samodzielną osobowością. Oczy zdawały się mieć całkiem specjalny, na własny tylko użytek i jedynie dla spraw niecodziennych przeznaczony rozum i myśl.

Jeśli robił to, co nazywał „badaniem“ — to znaczy, gdy patrzył — oczy, maleńkie i trochę kaprawe, przenikały. To patrzenie było jakby przeglądem każdej cząstki oddzielnie.

Tak wprawny zegarmistrz, bez brania do ręki, widzi, po otworzeniu koperty zegarka, uszkodzone części mechanizmu.

Ów przegląd trwał długą chwilę. Zaczęło się robić jakoś kłopotliwie.

— No, co, — przerwała ciszę Zofija — szkoda było Moška fatygować?

Spojrzał na nią, ale przedtem schował z oczu to coś osobliwego, co nie było mu potrzebne przy zwykłej rozmowie.

— Dlaczego szkoda — powiedział — przejść się zawsze można. Na stare lata jest dość czasu na spacer.

— Ale zaradzić, to Mosiek nie zaradzi, prawda?

— Ja nie powiedziałem, że nie zaradzę...

— I, doktorzy w takich dużych miastach powiedzieli, że z tego nie będzie...!

Zdanie to poruszyło w nim ambicję zupełnie nieoczekiwaną: —

— Duże miasta... — powiedział — Dla każdego co innego jest duże. Ja się urodziłem na wsi, to dla mnie duże miasto jest Jeziorna...

„Humor jest sprawą bardzo poważną“

POZORNY ten paradoks zaczerpnięty został z referatu Jerzego Andrzejewskiego wygłoszonego na II Ogólnopolskiej Naradzie Satyryków. Bo rzeczywiście zagadnienia dotyczące satyry są trudne. Tym bardziej, że satyra jako rodzaj artystyczny nie doczekała się właściwie jeszcze ani jednej poważnej dyskusji analizującej jej dotychczasowe osiągnięcia, błądy i zadania w naszym układzie sił politycznych i społecznych w Polsce Ludowej. Tymczasem już od dłuższego czasu „przy okazji“ narad twórców rozmaitych innych dziedzin artystycznych padają marginesowo uwagi o wielu brakach współczesnej satyry, nie nadążającej na ogół za tempem przemian naszego życia, nie reagującej dostatecznie szybko i celnie na jego układowe wynaturzenia. W miarę zaś coraz szybszego postępu rewolucji społeczno-gospodarczej i kulturalnej w kraju, w miarę coraz pełniejszego zastępowania „starego“ — „nowym“ na każdym odcinku naszego życia — wzrasta dysproporcja między starą formą i treścią satyry, a nowymi stawianymi jej wymaganiami. Dlatego konieczne okazało się zwołanie Ogólnopolskiej Narady Satyryków poświęconej omówieniu wszystkich wymienionych wyżej problemów i wytyczeniu nowych zadań satyry polskiej.

Narada zwołana została z inicjatywy redakcji „Szpilek“ przez Związek Literatów Polskich, Związek Polskich Artystów Plastyków i Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Zgromadziła ona wielu przedstawieli satyry literackiej, teatralnej i karykatury, korespondentów farenowych „Szpilek“, przedstawicieli pism literackich i codziennych oraz instytucji kulturalnych i artystycznych. W obradach wzięli również udział: wiceprezes Rady Ministrów, J. Cyrankiewicz i minister Kultury i Sztuki, Wł. Sokorski. Referaty zasadnicze wygłoszili: J. Andrzejewski, Antoni Marianowicz i Zb. Mitzner. Referenci zajęli się dokładną analizą sytuacji w poszczególnych

gałęziach twórczości satyrycznej: literaturze, teatrze, plastyce. Po raz pierwszy chyba poddano stan panujący w tych dziedzinach rzetelnej, twórczej krytyce, formując jednocześnie szereg postulatów zmierzających do polepszenia środków ekspresji, poszerzenia zakresu oddziaływania i większego zróżnicowania form naszej satyry. Satyra w niedostatecznej mierze wypełniała dotychczas swe zadania walki z wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi nowej, polskiej rzeczywistości. Obecnie zaś stanęło przed nią jeszcze trzecie zadanie: wypracowania nowych metod takiej satyry, która ma się stać jedną z form krytyki i samokrytyki — powiedział Mitzner. — Gdzie szukać przyczyn takiego stanu rzeczy? U podstaw wszystkich schorzeń naszej satyry leży zbyt niski poziom ideologiczny, a często i intelektualny jej twórców, brak silniejszego kontaktu z głównym nurtem życia kraju, brak odwagi i bohaterstwa, pozostałości ideologii mieszczańskiej w ich świadomości“ — odpowiada Marianowicz. Z tego wynika m. in. naturalistyczne spojrzenie na otaczający świat, nieumiejętność uchwycenia postaci lub zjawiska typowego dla samej sytuacji, brak znajomości życia społecznego i rządzących nim praw. Jedną z największych bolączek jest ciągle jeszcze schematyzm naszej satyry, „pozabawiona wartości namiastka realnego życia“, będąca objawem ucieczki od rzeczywistości, a więc słabości jej twórców — Najpospolitszymi objawami schematyzmu jest powtarzająca się do znudzenia tematyka utworów satyrycznych, ich bezkonfliktowość wyrażająca się w nieodmiennej pomyślnych zakończeniach i stosowanie zużytych chwytów humorystycznych. Czasem występuje zjawisko przeciwnie wyżej wymienionemu, a polegające na tym, że budownictwo nowej rzeczywistości spotyka się ze zbyt ostrą i powierchową krytyką będącą — mimowolnym najczęstszym — czczym. Bo „nie każdy śmiech śmiechu jest gołym“.

Na tego rodzaju rozważania nikt nie miał chęci.

— Więc co, da Mosiek radę?

— Jakbym ja nie miał dać rady, to po co by pani Zofija taki kawał po mnie chodziła?

Zaczęła się kuracja. Ziołowe kąpiele.

ZBIERANIE ziół, potrzebnych do tamtych kąpiele, nie było proste. Zbierali je u nas właściciele wszyscy — bliscy i zyciwi — bo wydawało się, że ilość przyczyni się do szybszego osiągnięcia pożądanego rezultatu. Tymczasem Mosiek nie był zadowolony z tego amatorskiego, jakby go można nazwać, szalu zbierania. Na nagromadzone zapasy patrzył niechętnie, czy raczej jakby z żalem. Jakby to była zmarnowana fatyga i, co najważniejsze, zmarnowany materiał leczniczy.

To, co sam przynosił, choć na pozór były to takie same zioła — cenit znacznie wyżej pod względem ich jakości. Miał swoje sekreta, dotyczące zbierania ziół. Już dziś nie pamiętam, które prawa obowiązywały w stosunku do których roślin, lecz często zdarzały się rozmowy w tym rodzaju:

— Trzeba by robić kąpiele z żywkostu... — mówił Mosiek.

Równało się to zapowiedzi, że on sam ów potrzebny żywkost dostarczy, więc czekano. Ale Mosiek jako żywkostu nie przynosił, tylko wzdychał, że jest bardzo potrzebny, bardzo.

— Wielmożna pani rozumie: sama nazwa wskazuje, że ten żywkost kości ożywia... Zrobić kąpiel, że by panią dobrze namokła, to przez skórę przesiąknie i do kości dojdzie... Ożywi ją...

(Dokończenie na str. 9)

Dokładne poznanie błędów była pierwszym krokiem na drodze do ich usunięcia. Postulowana w referacie Marianowicza rzetelność ideologiczna i artystyczna twórców satyry, ich pełne zaangażowanie się w naszą rewolucję kulturalną, lepsze poznanie otaczającej rzeczywistości, sięganie po nowe formy artystycznego wyrazu przyczynią się niewątpliwie do zwiększenia komunikatywności naszej satyry i do rozweselenia jej prawdziwym, twórczym humorem.

Szeroko dyskutowane były również referaty Lipińskiego i Grunwaldy poświęcone współczesnej karykaturze polskiej. Na tym odcinku sytuacja — na się o wiele lepiej, plastycy szybciej zdołali zrozumieć, czego żąda od nich nowy odbiorca karykatury. Jednak i na tym polu nie należy zmniejszać wysiłków zmierzających do coraz lepszego opanowania artystycznego rzemiosła, szybszego reagowania na najważniejsze wydarzenia i ostatecznego wyeliminowania tendencji formalistycznych i naturalistycznych.

Bardzo dużo uwagi poświęciła na radę (zwłaszcza w dyskusjach) krytyce działalności obu warszawskich satyrycznych zespołów estradowych „Syreny“ i „Satyryków“ — a zwłaszcza ich ostatnich programów „Wielki cyrk“ i „Z zegarkiem w rękę“. Seria zarzutów nie omiada też niektórych programów satyrycznych Artosu i Polskiego Radia. O ile jednak Polskie Radio stara się poprawić swoje błędy, o tyle w „Syrenie“ czy u „Satyryków“ uzdrowienie sytuacji mogą przynieść tylko: zakończenie współpracy z pisarzami i dyskusje z widzami.

Szczególnie przykra dla satyry sytuacja panuje w prasie literackiej i codziennej, która na ogół nie zamieszcza recenzji wydawnictw ani utworów satyrycznych. W dużej mierze spowodowane jest to całkowitym niemal brakiem naukowych opracowań twórczości satyrycznej. O jak najszybsze zapalenie tej luki należy zaangażować do badaczy literatury i odpowiednich instytucji wydawniczych.

L. Krzyszkowski

Marta SKALSKA

O Janku nie panku, dzieciach i teatrze lalek

wzruszeń, który realizację sztuki ocenia krytycznie na równo z budową akcji czy dobrze rozwiniętym wątkiem dramatycznym — dziecko przychodzi do nas po fabule, po bajkę”.

Pomówmy szerzej o fabule tego przedstawienia dla dzieci w wieku szkolnym, a więc tych właśnie, które ją wchłoną bez zastrzeżeń z całym przejęciem się akcją, z całą zdolnością przeżywania i przyswajania.

Oto fabuła Janka nie panka.

Był sobie raz ubogi wieśniak — Tomasz, miał tylko dzielnego, wesołego syna — Janka, koguta i psa. Miał też sąsiada Kacpra — bogatego chciwca, złego i zawistnego. Wszystkiego temu sąsiadowi było mało, uwierzył w żartobliwe opowiadanie Janka, że jego kogut znosi złote jajka i wyludził go od poczciwego Tomasa, ale złotych jajek nie mógł się doczekać.

I tak się zaczęły nieszczęścia Janka. Bogacz oskarżył jego ojca w sądzie o oszukańcza sprzedaż, a przez kupny sędziego skazał Tomasa na utratę jego uboższego mienia i na stałą służbę u Kacpra — chyba że znajdzie takiego koguta albo taką kokoszkę, która będzie znosiła złote jajka.

Biedny Tomasz idzie na ciężką służbę, a Janek, pościwszy ojca opieczą dobrą Tereski, która również służy u Kacpra, zabiera pieska Żuczka, koguta i wędruje w świat szukać ko-

szki, która znosi złote jajka. Szli, szli, aż zaszedli w sam środek puszczy, gdzie w grzybie mieszkał Leśny Dziadek. Wysłuchał on opowiadania Janka i wysłał kapelusza czarodziejskiego grzyba po swoją siostrę Babę Jagę, która miała kokoszkę znoszącą złote jajka.

Zaczyna być coraz bardziej baśniowo: Leśny Dziadek przynosi dwa mieszki, z których jeden zawierał kije-samobje, drugi może częstować dowolną najróżniejszymi smakołykami. Janek z pomocą Żuczka wybiera własny mieszek. Wszyscy zajadają we solo, ale nasz młody bohater niepotrzebnie upiera się, żeby wypróbować i drugi mieszek. Wyskakują kije i biją Janka i jego zwierzęta, a tu właśnie przyjeżdża Baba Jaga, której się także dostaje lanie. Sprawa kokoszką jest poważnie zagrożona, ale Jankowi udaje się prześlagać rozniewaną Babę Jagę muzyką i dostaje upragnioną kokoszkę. Dziadek do daje mu mieszki.

Wraca Janek radosny do domu, uwalnia ojca i Tereskę z ciężkiej służby, oddając kokoszkę złemu sąsiadowi. Ale złote jajka, które niesie czarodziejska kurka, przynoszą szczęście tylko dobrym ludziom, a u Kacpra i jego żony zamieniają się w straszne myszy.

Zjawia się zły sędzia, Kacper znów zwraca się do niego i dla uzyskania korzystnego dla siebie wyroku obie-

cjuje sędziemu konia, ale zjawia się Janek i częstuje sędziego ze swego mieszka. Sędzia jest zachwycony i staje po stronie Janka, który ofiarowuje mu mieszek... ale ten z kijami. Kije dają surową nauczkę sędziemu, a także Kacprowi i jego żonie, którzy wpadają do stawu, gdzie moczyli się jak żaby, zanim ich Janek nie wyciągnął. Tomasz spracza całą wieś na wesela Janka i Tereski. Przedstawienie kończy się tańcami i wesołymi piosenkami.

Zaletą tej fabuły jest zarówno jej prostota, dzięki której widz przyswaja sobie fabułę bez trudu, jak również baśniowa fantastyczność, będąca ważnym elementem zaciekawienia. W realizacji artystycznej teatru lalek całość stwarza pełnię iluzji tak ważnej dla przeżycia odbiorcy. Dziecko przeżywa przedstawienie tym łatwiej, że bohater (Janek) też jest dzieckiem. Młody widz solidaryzuje się z nim łatwo, współczuje, cieszy się, oburza.

Inscenizacja poszła po słusznej linii rozładowywania przykrych napięć przy pomocy elementu humoru. Przeszycone są nim niemal wszystkie sceny. Kacper i Sędzia są nie tylko żli, są również śmieszni, dziecko żywo współczuje Jankowi, ale nie powstaje u niego przykre wrażenie.

W wydobyciu komizmu teatr lalek ma nieporównane możliwości — dziecko słabiej reaguje na komizm słowny, ale komiczne postacie, ruchy i gesty wywołują radosny, szczerzy śmiech.

Na podkreślenie zasługuje wartość wychowawcza bajki. Żli ludzie są ośmieszeni i poniżeni, sukcesy ich są tylko pozorne, a w rezultacie nie im się nie udaje. Ludzie dobry, pracowici i weseli: Janek, Tereska, Tomasz zostali wynagrodzeni za swoje trudy i krzywdy.

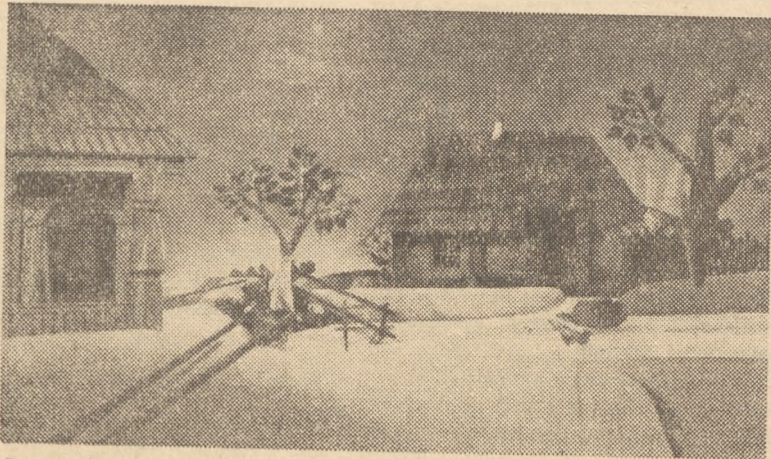
W związku z tym nie można pominać sprawy „happy endu”. Dziecko nie może wyjść z teatru z przykrym wrażeniem, psychika dziecka jest bardzo wrażliwa i nie należy jej niepotrzebnie ranić. W wypadku Janka nie panka i autor, i teatr znajdują właściwe rozwiązanie: żli są ukarani, ale w zupełnie humanitarny sposób — trochę ich tam przetrzepały kije-samobje, trochę przemoczyli się w stawku, nie budzą jednak w widzach grozy. Podkreślona jest raczej nagroda, jaka spotyka ludzi dobrych, i dzieci wychodzą z teatru pod wrażeniem ostatniej, kolorowej, roztańczonej i rozśpiewanej sceny.

Należy mocno podkreślić estetyczne oddziaływanie przedstawienia na młodziutkiego widza. Tenże widz nie zdaje sobie z tego sprawy, pochłonięty w czasie przedstawienia akcją, a po przedstawieniu palącym „zagadnieniem” technicznym: „jak to się robi?”, ale bezwzględnie sprawa jest bardzo istotna. Po obejrzeniu Janka nie panka możemy serdecznie i szczerze podziękować „Guliverowi” za pożyteczne kształcenie wyobraźni, wrażliwości i poczucia estetyki naszych najmłodszych obywateli.

Dekoracje są jasne, kolorowe, artystycznie stylizowane, lalki bardzo wyraziste (Kacper może trochę mniej, ale za to wspaniale wypadła Baba Jaga) — cała inscenizacja na wysokim poziomie artystycznym.

Nie chciałabym, żeby szerokie omówienie teatru lalek jako teatru dla dzieci mogło być rozumiane w ten sposób, że jest to jego jedyna rola. Teatr lalek ma rozległe możliwości przede wszystkim jako teatr objazdowy, szczególnie na wsi. Ale nie tylko na wsi. Popularność „Grotoski” krakowskiej, istniejącej w środowisku wyrobionym teatralnie, a będącej teatrem lalek dla dorosłych, jest tego najlepszym dowodem.

Marta Skalska



Dekoracja z I aktu sztuki „O Janku nie panku”

Fot. C.O.P.A.

NIEMIADOMO dlaczego teatr lalek uważany jest przeważnie za jakiś teatr „nieprawdziwy”, taki, którym nie warto się zajmować. Wielu recenzentów, piszących dużo, dobrze i wnikliwie o teatrze, nie ma „na sumieniu” ani jednej recenzji z lalkowego przedstawienia i nawet nikt się temu nie dziwi. A przecież teatr lalek jest poważnym zjawiskiem kulturalnym, stoi często na bardzo wysokim poziomie artystycznym i spełnia cenniejszą rolę już teraz, nie mówiąc o możliwościach, jakie się przed nim otwierają.

Zastrzegam się, że nie chcę w tej recenzji odrabiać „wiekowych zadania”, nie mam zamiaru rozpatrywać wszystkich zadań, celów i możliwości teatru lalek w ogóle. Chcę omawiając sztukę „Janek nie panka” wystawioną w „Guliverze” podkre-

lić jedną z najdonioślejszych ról takiego teatru — rolę „bycia” teatrem dla dzieci.

Zofia Jaremowa opierając się na długoletnim doświadczeniu pisze w artykule „Widz w teatrze lalek” (Teatr Lalek Nr 9, 1952 r) o dziecku w teatrze: „Dziecko w wieku szkolnym — to najlepszy klient teatru lalek, jego najwrażliwszy widz — widz, który całkowicie oddaje się przeżyciu widowiska... Dziecko w odróżnieniu od dorosłego widza, dla którego dobra dekoracja czy trafnie zaprojektowana lalka jest dodatkowym momentem

*) „Janek nie panka” B. Sudaruszki, tytuł oryginalny „Iwan Kries ianski Syn”, baśń komediowa w 3 aktach, w 5 obrazach dla dzieci w wieku szkolnym — w Państw. Teatrze Lalki i Aktora „Guliver”; tłumaczenie J. Zaborowskiego, insc. i reżys. Joanna Plekarska, dekoracje i lalki Otton Kubiński, muzyka Stanisław Prószyński.

Antoni LUBKOWSKI

Turcaret czyli finansista

GRANA od niedawna w Krakowskim Teatrze komedia Alain-René Lesage'a: „Turcaret czyli finansista” — to obraz wielkich przemian zachodzących w społeczeństwie francuskim XVII w. Podłożem tych przemian były zmiany ekonomiczne, zmiany, o których — rzecz prosta — komedia Lesage'a nie wspomina, których znajomość jednak niezbędna jest dla pełnego jej zrozumienia.

Koniec XVII w. we Francji był okresem narastania w łonie feudalnego społeczeństwa pewnych elementów formacji kapitalistycznej, okresem powstawania manufaktur, okresem przesunięcia się potęgi finansowej ze stanu szlacheckiego i arystokracji ku mieszczaństwu. Ale jednocześnie był to okres, w którym bankrutujący stopniowo skarb państwa zmuszony był zaciągać pożyczki u poszczególnych finansistów i ich spółek, odstępując im w zamian prawo ściągania podatków. W ten sposób powstała grupa finansistów — poborców generalnych — ciągnących ogromne zyski z nieuczciwej egzekucji podatków.

W sztuce Lesage'a postacią tytułową jest właśnie taki poborca generalny. I — w przeciwieństwie do dawniejszych autorów — komediopisarz uważa właśnie jego zawód, a nie charakter, za czynnik determinujący jego postępowanie. Świadczy o tym dobitnie tytuł utworu: „Turcaret czyli finansista”, jakże odmienny od klasycznych molierowskich tytułów.

Ciężkie zmagania z życiem, jakie były od młodości udziałem walczącego o samodzielność Lesage'a, oraz intuicja pisarska odkryły mu różne tajemnice pieniądza. Ięć choć autor na moment tylko wprowadza do sztuki echa kantoru Turcareta i epizodycznie tylko posługuje się postacią jednego z jego — wielu zapewne — agentów, wystarcza to, by widza zrozumiał, skąd pochodzi majątek eksponowanego finansisty.

Poza tą jedną sceną — dialogiem między Turcaretem a panem Raffe-

— autor podkreśla w swym bohaterze (zgodnie zresztą z punktem widzenia frańcujskiej arystokracji) cechy groteskowe. Turcaret zdaje sobie sprawę, że chcąc błyszczeć i twornym towarzystwie musi posiadać nie tylko pieniądze, że niezbędnym do tego warunkiem jest ogłada i kultura osobista, jakże ceniona przez ówczesną elitę. Czasu Turcareta — to przecież okres powstawania „salonów”, tej kuźni precyzyjnego języka, ciętej satyry, trafnego aforyzmu. Nasz finansista pragnie dorównać otoczeniu, wysławiać się zawiłe i górnolotnie, oczarowywać pomysłowością. Ale wrodzona tętość jest mu w tym dotkliwą przeszkodą.

I zapewne właśnie dlatego jest „Turcaret” — zgodnie z życzeniem autora — komedią. Może zresztą tylko dzisiejszego widza, który obiektywnie patrzy na sztukę Lesage'a, może ona przerazić rozmiarami upodlenia, w które wciąga człowieka pragnienie pieniędzy? Może ówczesnego, arystokratycznego bywalca teatrów „Turcaret” po prostu śmieszył?

Sztuka gra zestawieniami postaci. Jakże charakterystyczna jest przedziwna symbioza wytwornego a chciwego arystokraty z parweniuszowskim nuworyszem.

Albo Turcaret i Frontyn: równoległe do wzbogacenia się dawnego lokaja przebiega dekadencja potęgi finansowej pana Turcareta, dekadencja, kończąca się w więzieniu. Czy to nie doskonały kontrargument na burżuazyjne pojmowanie colbarłowskiego hasła: „bogaćcie się”? Czy ktokolwiek zyskał cokolwiek na wzbogaceniu się Frontyna?

A Kawaler i Baronowa de Porcandorf, to — jakże celna! — satyra na arystokrację, odsuwaną stopniowo od wpływów przez bogaczące się mieszczaństwo i pragnącą już tylko pieniędzy.

Lesage nie wprowadził na scenę ani jednego człowieka uczciwego. Jego bohaterowie są ludźmi, z których La Bruyère mówi, że „nie są ani

rodzicami, ani obywatelami, ani chrześcijanami, ani może nawet ludźmi”. Ci ludzie mają pieniądze albo ich pożądają. I ta właśnie żądza złota, ta atmosfera nieomal deifikacji pieniądza sprawia, że sztuka Lesage'a jest jakby preludium do balzakowskiej „Komedii ludzkiej”.

Kazimierz Szubert w roli Turcareta
Fot. Nowicki, Kraków

Wyreżyserowanie „Turcareta” jest jeszcze jednym poważnym sukcesem talentu i pracowitości Lidii Zamkowskiej. W tej trudnej sztuce reżyserka znalazła słuszną drogę między dwiema skrajnościami. Patrząc na koncepcję Zamkowskiej czuje się w sztuce urok powierzonego piękna tej zepsutej epoki, ale ani na chwilę nie zapomina się o jej tle społecznym i moralnym. Niby złowrogi „leitmotiv” wkracza co chwila na scenę pieniądza, motywując postępowanie bohaterów komedii. W tym ujęciu przejmują widza — zamierzonym przez autora — pesymizmem ostatnie słowa sztuki, wypowiedziane przez Frontynę: „Panowanie pana Turcareta skończone. Zaczyna się — moje!”

Kazimierz Szubert potraktował rolę Turcareta zgodnie z koncepcją autora i reżysera. Turcaret jest cały czas człowiekiem głupim, śmiesznym i zarozumiałym, zaślepionym miłością do Baronowej de Porcandorf, ale jednocześnie ani na chwilę nie przestaje być drażliwym poborcą generalnym i lichwiarzem. Szubert przez całą sztukę jest tym samym człowiekiem, zmieniającym się jednak pod wpływem różnych namiętności. Nie posługuje się ani szablonem „hieny finansowej”, ani szablonem oszukiwanego, dwulicowego kochanka, ani szablonem wzbogaconego głupca, lecz zawsze jest „panem Turcaretem”, w którym te cechy krzyżują się i mieszają. I na tym polega piękno jego kreacji.

Doskonałą Baronową de Porcandorf stworzyła Alicja Matusiakówna, pokazując kobietę sprytną i bez skrupułów, a jednocześnie naiwną i szczerze zakochaną w Kawalerze. Widzimy wyraźnie rozwój tej postaci, z początku przyjmującej prezenty zakochanego Turcareta, a na koniec dopuszczającej się ukartowanego oszustwa, by wyludzić od niego grubszą sumę.

Dobre kreacje stworzyli także: Wiktor Sadecki jako Markiz i Józef Dwornicki jako lichwiarz pan Raffe. Ten ostatni przypominał bardzo Lickcheese'a ze „Szczygłego załki” Shawa.

W pozostałych rolach wystąpili: Elżbieta Dankiewicz — pani Turcaret, Czesław Łodyński — Kawaler, Władysław Olszyn — pan Furet, Wanda Niedziałkowska — Pani Jacob, Marian Cebulski — Frontyn, Andrzej Kruczyński — Flamand, oraz Maria Kościalkowska i Halina Kuźniakówna jako pokojówki Baronowej.

Scenografia Tadeusza Kantora trafnie podkreśla charakterystyczny koloryt epoki, przeciwstawiając wytwornemu smakowi arystokracji francuskiej parweniuszostwo Turcareta.

M O S I E K

Dokończenie ze str. 7

Toteż długo zwykle siedziałam w tych kąpielach — nieraz nawet wodę podgrzewano powtórnie, gdy zbyt ostygła — żeby dobrze „na siąknąć“ ziołowym naparem...

Gdy żywokost wciąż się nie pojawia, pytano Moška z zaskowaniem: — Co, nie rośnie tu nigdzie? nie można go dostać?

— Dlaczego nie można dostać? Można. Rosnie, jak iść do cegielni. To zielsko, wolno zrywać.

— No, to Zofija pójździe i przynie sie. Cały worek!

— Oj, niech lepiej pani Zofija nie chodzi. Dużo zerwać, to nie sztuka. Jak będzie można, to ja sam polecę i przyniosę.

— Przecież mówił Mosiek, że nikt nie broni zrywać?!

— Pewnie, że nie broni, kto by zielska bronił... Sobie rośnie — można rwać... Ale nie można.

— Dlaczego?!

Zakrzywionym, kościstym palcem wskazywał w okno kuchenne (nawia sem mówiąc, nie pamiętam Moška na innym tle, jak tylko w kuchni).

— Wielmożna pani widzi, co się dzieje?

Zasugerowani tonem i gestem — wszyscy spojrzeli w okno. Ale za oknem nic się nie działo. Widać było spokojny i pusty (w znaczeniu braku ludzi), zieleniejący intensywnie ogród, rozgrzany upałem.

— Niech Mosiek głowy nie zawraca, tylko mówi! — wtrącała się Zofija.

Okazywało się, że żywokostu nie należy zrywać w czasie upału, najliepiej w deszcz.

Z czym innym bywało odwrotnie: dane ziele posiadało najlepszą wartość zebrane podczas suchej pogody. Nawet pory dnia, a także słońce czy cień — miały dla Moška swoje

znaczenie. On się na tym znał i dla tego za zmarnowane uważał te zioła, które zbierane były nie przez niego, czy raczej nie według obowiązujących praw.

Niektóre kąpiele były — z mego punktu widzenia — ciekawe. Na przykład, kąpiele w pierogach. Cztery nacięte wielkich jak „cielęce żołądki“ (dawkowanie Moška) pierogów pływalo niby jakieś ruchome wyspy. Pod koniec kąpiele wolno mi było zerwać ciasto i zajrzeć do środka — co w którym jest. W każdym była inna jarzyna. Marchew, pietruszka, cebula, seler, por, kartofle, buraki, kapusta, brukiew, czarna rzodkiew, kalarepa, groch, rzepa, a jeden był z koprem.

— Prawdziwy barszcz ukraiński — mówiła nieodmiennie Ciocia — Tylko, że pestny, bo chudeusz z ciebie.

W okresie zimy, gdy nie było z czego robić ziołowych kąpiele, kuracja polegała na różnego rodzaju okładach. Ich wspólną cechą była wysokość, aż niemal do oparzenia, temperatura. Nawet te ze słoniny, chociaż były początkowo chłodne, po paru godzinach rozgrzewały się. Robiono je w ten sposób, że słoninę krojono na cienkie a szerokie plastry i szczelnie przybandażowywano grubą warstwą płótna. Spowijano mnie w to z wieczora. W ciągu nocy, pod kołdrą i od ciała, słonina rozgrzała się dość silnie. Wszystkie pościółki i nocna bielizna były obrzydliwie zatłuszczone.

Rano odbywało się generalne obmywanie z tłuszczu, a plastry słoni ny oddawano Topsis. W krótkim czasie rozłyła się nieprawdopodobnie i doszło do tego, że słoniny więcej nie chciała jeść. Taka to była dzwina kuracja. Kłopotu z nią było wiele. Na

wet „nadworna kotka“ brała czynny udział — i to nie tylko przez zjadanie słoniny — w tych zabiegach bowiem systematycznie próbowała temperaturę wody, przygotowanej do kąpiele. Gdyż, w celu nierozcieńczenia zbyt wywaru z ziół, kąpiano mnie w czymś względnie ciałym i bardzo płytkim: chodziło o zanurzenie, w pozycji siedzącej, mojej niewielkiej osoby tylko do pasa. Tak za lecał Mosiek. Naczynie, w którym mnie kąpiano, było drewniane — ni to wanna, ni to niecka. Zwano je — balijką.

Balijkę stawiano w sypialnym pokoju na podłodze pod piecem. Było w ten sposób ciepło, bezpiecznie i wygodnie, bo blisko do łóżka. Jeszcze wówczas osiatkowanego, choć nieco już przyciasnego.

Otóż Topsis zaczęła naśladować ruch osoby dorosłej, próbującej ręką ciepłotę wody. Topiszczka — jak ją nazywano, gdy kogoś czymś rozgniewała, ale był w tym także odcień serdeczności i używano tego przeinaczenia imienia również w chwilach czułości dla kotki — siadała przy balijce i maczała łapkę w wodzie. Wystarczyło ją obserwować — jeśli wyjęła łapkę, spokojnie ją otrzepując, znaczyło, że wodą nie jest za gorąca. Bo jeśli była za gorąca — Topsis wyciągała łapkę prędko i obliżywała ją. Śmiało można było wtedy czekać na wystygnięcie wody, (zimnej nie dolewano ze względu na nierozcieńczenie).

Istotnie, dziwna to była kuracja. Przeprowadzono ją ze stracenięcą miętnością, że może, może pomoże...?

Ale, od pierwszego sprowadzenia Moška minęło lato, jesień, kończyła się zima. Już teraz Mosiek przychodził sam, „Jatał“ po co było potrzebne, wymyślał co raz coś nowego. Rezultatów nie było widać. Zapal osłabł, wiara zmalała do minimum. Gdyby nie ustawiczny, a bezinteresowny, dopięg ze strony Moška — honorarium miał otrzymać po pomyślnym wyniku leczenia, a na razie dawano mu od czasu do czasu na papierosy — zapewne zaprzestano by tej kuracji.

— Na wiosnę — mówił Mosiek.

— Co, na wiosnę? — pytano bez przekonania.

— Na wiosnę zioła będą lepsze, so czystsze. A prócz tego, na wiosnę wszystko się budzi...

— No, to co?

— No, to i choroba się zbudzi i wyjdzie precz z dziecka.

Prawdę mówiąc, byłam ogromnie ciekawa tego wyjścia choroby ze mnie. Było to uczucie w rodzaju niecierpliwości, z jaką zawojowany kraj czeka na wymarsz wojsk okupujących. Czekając tego momentu intensywnie, a czasem bałam się, że nastąpi w nocy i nie zobaczę tego, lub, co gorsza — w nocy wszystko pozamyka i lekkałam się, że choroba, nie mogąc się wy dostać z domu, wróci z powrotem do mnie.

Na wiosnę, jak się okazało, nie wszystko budzi się do życia. Na wiosnę Mosiek przestał nagle przychodzić — dowiedzieliśmy się, że umarł.

Mimo wszelkich wątpliwości w jego umiejętnościach lekarskich — śmierć jego stała się pewnego rodzaju ciosem: zabrakło kogoś, kto wierzył niezachwianie w to, w co inni tylko chcieli, mimo wszystko, wierzyć.

Śmierć Moška wpłynęła, nieoczekiwanie, na gwałtowne nasilenie prowadzenia moskiewskiej kuracji.

Usiłowano domyślać się, co by on jeszcze, gdyby żył, doradził, trzymać się ściśle starych zaleceń i przepisów, starano się przypomnieć sobie, jakie zioła zbierał on przy jakiej pogodzie, o jakiej porze dnia...

I choć po pewnym czasie znowu

osłabła wiara w skuteczność metody Moška — stosowanie kąpiele ziołowych przeszło w codzienność. I tak to szło swoim trybem.

Przeszła wiosna, na którą tak liczył Mosiek, ale choroba ze mnie nie wyszła.

★

STAŁO się pod koniec lata.

Aż do tego czasu poruszałam się w ten sposób, że szłam popychając przed sobą mój dziecinny, trzcinowy fotelik. Było to możliwe tylko w mieszkaniu, po podłodze, bowiem po trawie czy ziemi stosować się nie dało. Tak, że byłam uzależniona od kogoś, kto musiał mnie w ogrodzie przeprowadzać z jednego miejsca na drugie.

Owe pamiętne popołudnie kończącego się lata było pogodne i ciche. W pamięci pozostała mi pogoda nie tylko zewnętrzna, ale i wrażenie pogody wewnętrznej. Spokoju. Od czasu do czasu, w nieuchwytnym powiewie, szeleściły listki kilku olch — i był to jedyny dźwięk, mącący ciszę. W takich momentach stojący w nieruchomym powietrzu, aromatyczny zapach skoszonej trawy, zamienionej na siano, falował i przypominał o sobie tak natargowicie, że aż trzeba było o nim powiedzieć:

— Czujesz, jak pachnie siano?

Bawiliśmy się z Hanią we wrony. Zrobiliśmy sobie gniazda z siana i wzajemnie odwiedzaliśmy siebie w nich. Taka sobie, improwizowana zabawa. Nawiasem wspominając, gniazda miały być specjalnie nieporządnie zrobione, ponieważ wiedzieliśmy, że wrony takie właśnie gniazda mają. Ale pedantyczne umiłowanie porządku przez Hanię kazało jej niejako korygować naturę — powiedziała:

— Ja będę porządna wrona — i zrobiła swoje gniazdo jak umiała najporządniej.

W czasie trwania zabawy wynikała potrzeba przyniesienia z domu zabawki, której, posłana po nią, Hania znaleźć nie umiała. Musiałam więc pójść po nią „sama“, wobec czego raz jeszcze posłałam Hanię po Ciocię, by przysłała i zaprowadziła mnie.

Jacek ŁUKASIEWICZ

ŚCIEŻKA W PARKU

Nie w tobie, ale we mnie szukać muszę
I kiedy znajdę, nie wiem.
Widzisz — w powietrzu krąży tysiąc muszek
I wiewiórka puszyścieje na drzewie.

Niebem z chmurkami walczy deszczyk zmienny
Głazy mech dorósł zielony.
Nie w tobie szukać muszę, ale we mnie
Nad płatkami twojej dłoni schylony.

NATCHNIENIE DZIECIĘCE

Organizmy dyszące na ustawionych szynach
W pokoju, w którym dziecko na ścianach składa cienie...
Minuty, które w skroniach nerwowym rytmem płyną,
Na kwadratach podłogi układające wzruszenie.

W budzik na stole patrzysz, rączki na klocki kładziesz
Nie wiesz co robić... bo półmrok. Nie wiesz co robić... bo pięknie
A parowóz na szynach w pokojów amfiladzie
Dyszy chęcią przygody, że mało tender nie pęknie.

Patrzysz, skupiasz się w sobie, uszczęśliwione dziecko,
W samym środku natchnienia, w kwiatów nerwowym szumie.
Masisz rzucić kraj nowy, który czyha zdradziecko
I opuścić to wszystko, czego wyrazić nie umiesz.

Ale nie czujesz żalu, gdy kończy się zabawa
Rzucasz wszystko dla głupstwa, odchodzisz, zapominasz...
Bowiem, gdy tylko zechcesz, cieżkość znów jest złotawa
I znów parowóz dyszy na ustawionych szynach.

Ale dla nas jest ważne szybkie serca bicie
Wyrażalne nie tylko w liniach białych dłoni,
Są chwile... Kto te chwile nicopatrnie rzuci,
Ten ich przez życie całe nigdy nie dogoni.

Pamiętniki Reynauda

(Dokończenie ze str. 2)

szcza, że dysponowała ona z góry przygotowaną, częściowo silnie, częściowo słabiej ufortyfikowaną linią obronną. Nawet ilościowa przewaga lotnictwa niemieckiego nie była już tak bardzo przytłaczająca, zwłaszcza w zakresie samolotów myśliwskich. Okazuje się zresztą, że w momencie kiedy Francja miała jeszcze 1000 najnowocześniejszych samolotów bojowych, w większości nie wprowadzono tych jeszcze do akcji. I z tym wszystkim front francuski runął przy pierwszym uderzeniu niemieckim jak domek z kart.

Po przerwaniu frontu pod Sedanem: w trzecim dniu ofensywy hitlerowskiej sytuacja była już beznadziejna. Stwierdził to zresztą sam Reynaud w rozmowie telefonicznej z Churchillera, mówiąc mu wtedy: „Przegraliśmy decydującą bitwę.“ Późniejsze próby zrekonstruowania frontu nad Sekwaną były z góry skazane na niepowodzenie, gdyż armia francuska straciła we Flandrii 3/4 swych czołgów, artylerię i pojazdy mechaniczne, a korpus brytyjski wywakuował się z Dunkierki, pozostawiając na miejscu całość zaopatrzenia bojowego.

Po kolejnym przerwaniu frontu nad Sekwaną regularna armia francuska przestała w zasadzie istnieć.

Reynaud nie dopuszczał myśli walki ogólnonarodowej z najeźdźcą wewnątrz kraju. Wierzył nadal tylko w Anglików i od nich oczekiwał w przyszłości zbawienia dla Francji. Dlatego propagował wycofanie się rządu do Afryki Północnej, ale z jednoczesnym złożeniem przez armię francuską broni wewnątrz kraju. Merytorycznie nie różnił się więc istotnie ze stanowiskiem Pétaina i Weyganda.

Pétain, Weygand i pozostający pod ich wpływem ministrowie uważali, że trzeba natychmiast zawrzeć zawieszenie broni z hitlerowcami, aby rząd mógł uratować resztkę armii dla wykorzystania jej jako siły zbrojnej przeciwko ruchom rewolucyjnym. Reynaud

domagał się od dowództwa wojskowego wydania rozkazu zaprzestania ognia, a więc w innej formie kapitulacji przed wrogiem licząc, że w ten sposób wykręci się od odpowiedzialności a ciężar walki z akcją rewolucyjno patriotyczną spadnie na obcego okupanta.

Na decydującym posiedzeniu rządu w tej sprawie okazało się, że istnieje pełna równowaga sił między obu tymi kierunkami. Reynaud zrezygnował jednak z walki w obronie swego stanowiska. Na próżno usiłuje to teraz pokryć różnymi frazesami i łamańcami argumentowymi. Nie przeprowadził na wet formalnego głosowania, lecz zgłosił prezydentowi Lebrun dymisję rządu, doradzając mu powierzenie władzy marszałkowi Pétain.

W międzyczasie Reynaud ciągle się jeszcze ludzi, że wyjedzie do Waszyngtonu jako oficjalny reprezentant reżimu petainowskiego. Dlatego właśnie, gdy zebrało się w Vichy francuskie Zgromadzenie Narodowe celem aprobaty dyktatury Pétaina i sankcjonowania obalenia konstytucji, Reynaud przybył na sesję, ale nie wziął udziału w proteście antyfaszystowskiej mniejszości, lecz po prostu nie zjawił się na decydującym posiedzeniu, pozorując to stanem zdrowia.

Jak widzimy więc, przeprowadzona w nowym wydaniu pamiętników polemika z wszystkimi oskarżycielami nie zdołała wybielić ich autora, chociaż wyteźlał całą błyskotliwość swego umysłu i pióra dla efektownego parowania ciosów.

Niewiele osób czytać będzie gruby, tysiącstronicowy tom, ale autor tędy mógł w razie potrzeby powiedzieć z wykazaniem już dostatecznie tupetem że w druzgocący sposób odparł w nim wszystkie „oszczerstwa“ swych wrogów. W ten sposób jest nadal kandydatem na „zbawcę Francji“ przed „niebezpieczeństwem wewnętrznym“.

Szymon Doreń

Kilka słów o:

Filmie

NOWE FILMY RADZIECKIE

Na ekrany kfn Związku Radzieckiego wszedł nowy kolorowy film, poświęcony wiciemu pocie kazachskiemu, Dżambułowi. Dżambuł urodził się w roku 1846, zmarł mając blisko 100 lat. Pieśni i poematy Dżambuła przełożone są na wszystkie języki narodów ZSRR. Film, w którym główną rolę gra świetny artysta Republiki Kazachskiej, Szakon Rimanow, jest reżyserii J. Dżigana, autorami scenariusza są M. Pogodin i A. Tadzibajew.

Wiele ciekawych filmów jest w toku realizacji. W kijowskiej wytwórni powstaje historyczny film o Bogdanie Chmielnickim według scenariusza Korniejczuka. W erywańskiej wytwórni filmów fabularnych realizuje się ciekawy film dla młodzieży pt. „Na brzegu Sewanu”. Taszkiencka wytwórnia opracowuje film oparty na operze A. Kalchara „Jedwabna chusta”.

„WYŚCIG POKOJU” WYŚWIETLANY W ANGLII

W Anglii dużym zainteresowaniem, szczególnie wśród sportowców, cieszy się film polski „Wyścig pokoju”. Film ten wyświetlany był na pokazach zorganizowanych przez League of Racing Cyclists w Wolverhampton, które obejrzało ponad 1000 osób.

Również i w innych miastach Anglii: w Richmannsworth k. Londynu, w Hereford, Bradford, Swindon wyświetlano ten film z ogromnym powodzeniem.

ŻYCIE SAMUELA PEPYSA NA EKRANIE

Dwóch znanych reżyserów angielskich, Anthony Asquith i Teddy Baird, przystąpiło obecnie do sfilmowania fragmentów dziennika Samuela Pepyasa, popularnego w Polsce dzięki świetnemu przekładowi M. Dąbrowskiej. Wybierając tylko fragmenty, chcą oni uniknąć powierzchowności i urozeczać w przedstawianiu życia spryt

nego mieszczańca, co zwykle jest nieodłącznym błędem biografii filmowej.

Film o życiu jednej z najbardziej popularnych postaci literatury angielskiej zostanie oparty nie tylko na osobistych wspomnieniach Samuela Pepyasa, lecz także na gruntownych studiach współczesnej mu epoki.

Plastyce

CIEKAWA WYSTAWA

W sali wystawowej Moskiewskiego Towarzystwa Plastyków została otwarta wystawa prac kobiet — artystek Moskwy. Zgromadzono ponad 200 eksponatów z dziedziny malarstwa, rzeźby, grafiki, dekoracji teatralnych i kostiumowych.

Ponadto w dn. 26 kwietnia otwarto w Moskwie 5-tą sesję ogólnego zebrania Radzieckiej Akademii Sztuk. Akademią jest centrum naukowo-twórczym sztuki radzieckiej, w jej łonie działa Instytut Historii i Teorii Sztuki.

PLASTYKA AMERYKAŃSKA W PARYŻU

W Muzeum Sztuki Współczesnej w Paryżu zorganizowano wystawę współczesnej plastyki amerykańskiej, wystawiając prace rzekomo najlepszych 12 twórców amerykańskich, reprezentujących najmodniejsze kierunki plastyczne w Stanach Zjednoczonych.

Katalog wystawy mówi o „indywidualizmie” i „wolności”, recenzenci francuscy dostęgli tylko przykre dziwactwa lub perwersję i ekrucienstwo, nie rozumiając, że do obłędu posunięte poszukiwanie walorów formalnych.

Jednocześnie w Paryżu otworzona została wystawa rysunków świetnego grafika amerykańskiego Steinberga, którego prace są dowodem, że 12 „najlepszych” plastyków Stanów Zjednoczonych, wystawionych w Paryskim Muzeum Sztuki Współczesnej, nie reprezentuje żadną miarą sztuki tego wielkiego narodu. Pełne kopie i oryginalnego spojrzenia na świat rysunki Steinberga

są wymownym świadectwem, że w St. Zjednoczonych istnieją artyści, których stać na coś więcej niż na kreślenie nieregularnych linii.

ŚMIERĆ M. KISLINGA

Po niedawnej śmierci Raoula Dufy sztuka francuska poniosła nową stratę, w ostatnich dniach zmarł bowiem w Paryżu M. Kisling, drugi przedstawiciel fauvistów. Jest rzeczą ciekawą, że malarz ten, chociaż większą część życia spędził we Francji, urodził się w Krakowie, dnia 22 stycznia 1891 r. Tam też skończył szkołę średnią, a potem studiował w Akademii



M. Kisling: portret kobiety (fragment)

Sztuk Pięknych. Wielki wpływ w tym czasie wywarł na niego prof. Józef Pankiewicz, który w poprzednio przebywał przez długi okres we Francji i zetknął się tam z impresjonizmem.

W przeciwieństwie do wcześniejszych reprezentantów fauvizmu, jak Matisse'a wspomina już Dufy, widza świata Kislinga, tak jak Modiglianego, Pascina i Scutina'a jest drama tyzma i często nawet tchnie głębokim pesymizmem.

O HISTORYCZNEJ GENEZIE POLSKIEJ SZTUKI LUDOWEJ

Państwowy Instytut Sztuki zapoczątkował w bieżącym roku nową serię wydawniczą pod nazwą Studia i Monografie do dzieł Sztuki Polskiej. Pierwszy tom o podanej wyżej tytule opracował prof. dr Ksawery Piwocki, biorąc sobie za cel naświetlenie niektórych ogólnych i szczegółowych zagadnień, dotąd nie zbadanych w dotychczasowej mierze, a ważnych dla naszego rozwinięcia prac zbiorczych nad nową syntezą dzieł polskiej sztuki. W cyklu tym znajdują się kolejno wybrane zagadnienia z różnych okresów historii, a także opracowania monograficzne mniej znanych artystów, którzy swą twórczością malarską czy rzeźbiarską stanowili ogniwem rozwoju realnego nurtu naszej plastyki.

K. Piwocki w pracy swej, za ledwie 37-stronicowej, daje bogaty materiał twórczości architektonicznej i rzeźbiarskiej, a także polichromii i gobelinów. Przeważają obiekty sakralne i przedmioty zdobnicze wewnątrz kościelnych. Autor stara się wykazać chronologicznie z architekturą i rzeźbą, a także z periferyjną działalnością artystyczną, którą tłumaczy nam w dużej mierze genezę elementów tematycznych i formalnych sztuki nieuczzonej, „lu dowej”, w XIX i XX wieku. Wskazuje dalej, że zasługą mistrzów cechowych, rozprzeczonych po wielu zakątkach Polski, jest przystosowanie no-

wych napływających wątków tematycznych i formalnych do potrzeb najszerzych mas społeczeństwa. „W ten sposób sztuka ta posiada niezwykły ładunek elementów rodzinnych, na rodowych”. Właśnie te dzieła tworzą istotny, artystyczny „krajobraz” naszego kraju.

Muzyce

OPERA OBJAZDOWA

Państwowa Organizacja Imprez Artystycznych „Artos” zorganizowała pierwszą w Polsce operę objazdową. Przedstawienia operowe odbywać się będą w miastach, nie mających stałej opery i w mniejszych miejscowościach, posiadających salę teatralną z odpowiednią sceną. Jako pierwszą przygotował „Artos” operę „Janek” Żeleńskiego (libretto L. Germana), w której jako soliści występują: Irena Bator, Halina Łukomska, Jerzy Kobza, Zygmunt Janiszewski i Władysław Skoraczewski. Opera wystawiona została pod kierownictwem artystycznym A. Sielskiego, w reżyserii W. Bregy, w opracowaniu dekoracyjnym i kostiumowym R. Rubieca.

WYSTĘP CHÓRÓW FILHARMONII WARSZAWSKIEJ

W dniu 2 bm. w Hali Mirowskiej odbył się 21 koncert symfoniczny Państwowej Filharmonii Warszawskiej pod dyrykcją Witolda Rowickiego.

Podczas koncertu wystąpiły po raz pierwszy nowoutworzone chóry: dziecięcy i mieszany. Chór dziecięcy liczy 150 dzieci — uczniów warszawskich szkół podstawowych; w skład 140 osobowego chóru mieszane go wchodzi uczniowie szkół muzycznych i młodzież robotnicza, wybrana z zespołów amatorskich.

„WOJNA I POKÓJ” WE FLORENCJI

Pierwsze na zachodzie Europy wystawienie opery zmarłego niedawno Sergiusza Prokofiewa pt. „Wojna i Pokój” odbędzie się w ramach wielkiego festiwalu muzycznego we Florencji, w ciągu maja br.

Również w czasie festiwalu wielki balet Opery Paryskiej wystąpi z dawno nie widzianymi „Fetes Galantes” Mauricego Ravela.

KONCERT KU CZCI PROKOFIEWA W ARGENTynie

Staraniem postępowych kół w Argentynie odbył się w Buenos Aires w teatrze im. Cervantesa koncert ku czci Sergiusza Prokofiewa. W koncercie tym wzięła udział wielka orkiestra symfoniczna pod batutą znanego dyrygenta argentyńskiego, Roberta Kinskiego. Na wieczorze tym wykonano Piątą Symfonię oraz Drugi Koncert Prokofiewa.

Wszystkim

W HOŁDZIE KATEDRZE W CHARTRES

Popularne francuskie wydawnictwo Plon zaprezentowało jedną z najciekawszych — jak dotąd — książek sezonu. Jest to zbiór rozważań historycznych estetycznych, filozoficznych jak i mistycznych, do których impuls dało jedno z największych arcydzieł sztuki Sredniowiecza: katedra w Chartres, a szczególnie jej niezrównany portal.

Książkę ilustruje około stu przedmiotów fotografii, tekst wybrał i przygotował Daniel Rops.

MUZEUM SZTUK PLASTYCZNYCH OTWARTO W RYDZIE

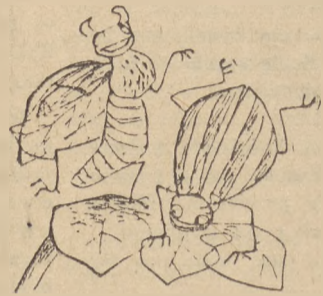
Niedawno otwarte w Rydze Państwowe Muzeum Sztuk Plastycznych. Eksponaty rozmieszczone są w 20 salach i obrazują rozwój sztuki światowej od najdawniejszych do współczesnych czasów. Rozmieszczone są w salach malarstwo, rzeźby, grafiki, zabytki dawnego Egip-

Marek Antoni WASILEWSKI

BAJKA

STONKA

Raz na rozkwitniętej łące
Powiedziała stonka stonco:
— Czy przypadkiem pani lubi
Taniec zwany boogie-woogie?
Na to stonka numer dwa:
— Jestem przecież z U.S.A.
I jak innych stonok masy
Wprost uwielbiam wygibasy.
Tu kartofel, tam ziemniaczek,
A ja drepcząc, a ja skacząc.
Wielką mi to sprawia radość
Bo pochodzę z Colorado.
Pani przecież równie chyba
Umie wrzeszczeć „Babariba”!
— Umie — rzecze stonka pierwsza —
To jest rzecz najprzyjemniejsza:



„Babariba” i ziemniaki.
Do roboty więc! Na krzaki!
Rozwinęły skrzydła stonki
Poleciały na zagonki.
I rzecz prosta, klaps na liście
(kartoflane oczywiście)
— Babariba! — wrzasły obie —
Teraz to podjemy sobie!
— Babariba! Boogie-woogie! —
Drze się stonka numer drugi.
Boogie-woogie! Babariba!
Dobry obiad zjemy chyba!
I z radości, dalej w tany,
Ucieszone, rozśpiewane...
Ale smutny koniec baśni,
Bowień tego ranka właśnie...
Pech! Cóż też powiecie na to,
Sposzregł stonki dwie lustrator.
Dalej sobie rzecz wystawcie:
Utonęły stonki w nacie.

tu, Grecji, Asyrii. Z nowszych czasów reprezentowana jest sztuka Francji, Niemiec, Holandii i in. krajów. Na szczególną uwagę zasługują zbiory malarstwa holenderskiego z XVIII w.

ROCZNICA JOSE MARTI

Uroczystości z okazji setnej rocznicy urodzin wielkiego kubańskiego poety, Jose Marti, za inicjowane decyzją Światowej Rady Pokoju, już się rozpoczęły. W ramach tych uroczystości odbył się w stolicy Kuby, Hawanie, Kongres Pisarzy, który obradował nad sposobami opracowania i spopularyzowania dzieł wielkiego poety.

30-LECIE DZIAŁALNOŚCI „OGONIOKA”

Popularne czasopismo radzieckie „Ogoniok” obchodziło niedawno 30-lecie swego istnienia. Na łamach „Ogonioka” publikowali i publikują swe utwory najlepsi poeci i pisarze radzieccy. W pierwszym numerze tego pisma przed trzydzieści laty zamieścił swój poemat o Leninie Wł. Majakowski, tu publikował swe opowiadania Maksym Gorki.

Na wieczerze jubileuszowym wygłosił referat podsumowujący trzydziestoletnią działalność pisma naczelny redaktor „Ogonioka”, A. Surkow. W imieniu Związku Literatów Radzieckich przemawiał M. Tichonow, w imieniu Związku Artystów Radzieckich zabierał głos Issakowski.

CIEKAWY ODKRYCIE ARCHEOLOGICZNE

W ostatnich miesiącach ekipa uczonych i studentów Brytyjskiej Akademii Archeologii przeprowadziła szereg prac wykopaliskowych w Palestynie, na terenie starego miasta Jerycho. Miały one na celu odkry-

cie śladów życia ludzkiego w okresie neolitu, na 5000 lat przed Narodzeniem Chrystusa.

Prawdziwą rewelacją stało się odkrycie najstarszych rzeźb głów ludzkich, które, jak twierdzą uczeni brytyjscy, zostały wykonane na 7000 lat przed nar. Chr. Zrobiono je w niezwykle pomysłowy sposób. Jako podstawy do każdej rzeźby użyto czaszki ludzkiej, puste miejsca wypełniono gipsem, z którego z niezwykłą dokładnością wymodelowano rysy twarzy. Uszy i proste nosy, o lekko rozszerzonych nozdrzach, delikatnie wy modelowano. Zaznaczono także usta i brwi, a powieki zrobiono z muszelek morskich. Wszystkie twarze zostały pomalowane na kolor opalonej skóry, jedna z nich tylko ma jasnoróżowy odcień. Staranność, z jaką wykonano te rzeźby, wskazuje, że mamy tu do czynienia z zabytkami kultury, są to, jak przypuszczają brytyjscy archeolodzy, głowy deifikowanych przodków.

STOLICA OTRZYMA NOWY, WIELKI KSIĘGOZBIÓR

Od 17 do 31 maja br. w całym kraju trwają „Dni Oświaty, Książki i Prasy”. W okresie tym odbywają się liczne imprezy artystyczne, kiermasze książek oraz dokonuje się otwarcia wielu ciekawych wystaw, nowych bibliotek i czytelni. Między innymi w Warszawie na Mirowie uruchomiony zostanie nowy, wspaniale wyposażony Dom Kultury. Posiadać on będzie wielki księgozbiór liczący ponad 80.000 książek. W nowym Domu Kultury odbywać się będą kursy języków obcych, odczyty i pokazy filmowe. Zostanie również zorganizowana własny zespół taneczny i artystyczny oraz teatr lalek.

FESTIWAL W CANNES

Na tegorocznym Festiwalu Filmowym w Cannes każdego dnia ogłaszano jakąś zmianę w programie na skutek interwencji politycznych. M. in. doskonały francuski film dokumentalny Alaina Resnais „Posągi także umierają” uległ dużym cięciom cenzury, która początkowo w ogóle nie pozwoliła na wyświetlanie tego filmu mającego akcenty antykolonialne. Nie zezwolono również na wyświetlanie dokumentalnego filmu japońskiego pt. „Malarstwo bomby atomowej”.

Wielką niespodzianką Festiwalu był film japoński reżysera Kaneto Shindo pt. „Dzieci Hiroszimy” — scenariusz filmu, to historia nauczycielki, która po siedmiu latach wraca do rodzinnego miasta Hiroszimy. Z przerażeniem widzi, że bomba atomowa działa dalej, spotyka swe koleżanki, które nigdy nie będą mogły mieć dzieci, oślepiłe żebrzące rodziny, nędzę i rozpacz. Film ten, zrealizowany z dużym talentem, jest gwałtownym protestem przeciwko wojnie, potężnym jej oskarżeniem.

Anglia oprócz udanego filmu krótkometrażowego i filmowej adaptacji sztuki Cocteau „Okropni rodzice” pokazała na Festiwalu film zrealizowany przez reżysera G. More O'Ferrala według znanej powieści Grahama Greena „Sedno sprawy” (wydanej w zeszłym roku przez „PAX”). W roli głównej, jako major Scobie, wystąpił świetny aktor angielski Trevor Howard, w kobiecych Elizabeth Allain i Maria Shell.

W tym roku film włoski raczej zawiódł, nawet film De Sici „Stacja końcowa” (Stazioni Termini) nie osiągnął poziomu poprzednich arcydzieł tego reżysera. W głównych rolach bowiem występują aktorzy z Hollywood, Jennifer Jones i Montgomery Clift, którzy dziwnie rażą w tym filmie mistrza włoskiego neorealizmu.

Rezaplanujecie zwycięstwo odniosła kinematografia francuska. Pierwszą nagrodę otrzymał (mimo różnic protestów) film francuski Henri Georges Clouzot „Cena strachu”, według znanej powieści G. Arnaud, w roli głównej występuje pierwszy raz w filmie popularny pieśniarz Yves Montand.

Redaguje zespół

Prenumerata miesięczna 4.— zł. Kwartałna 12.— zł

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43. I p. tel. 880 71 880 26

Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Drukarnia Akcydensowa, Warszawa, Tamka 3. Zam. 1059. 4-B-10842.